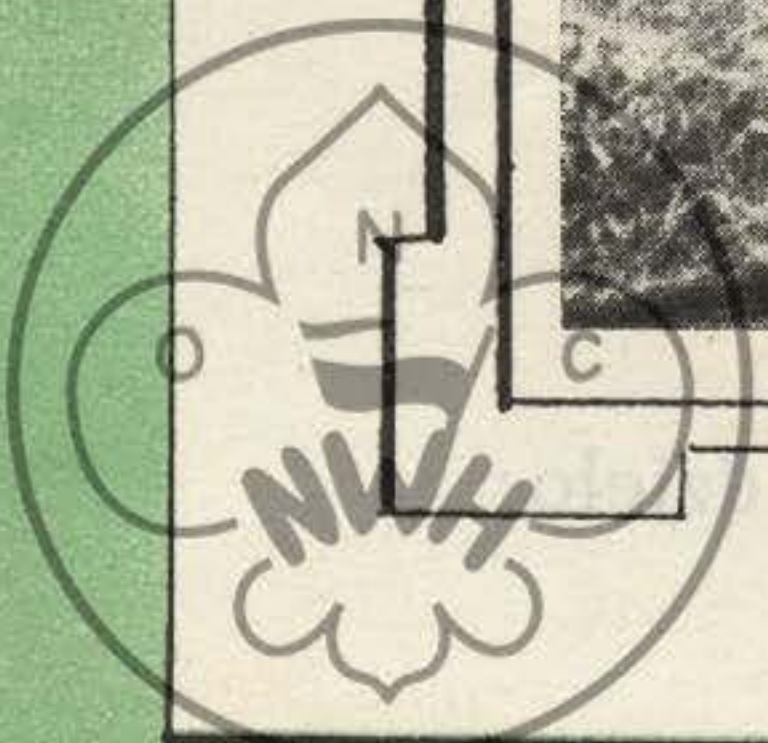


SWIAT *intodlych*



archiwum

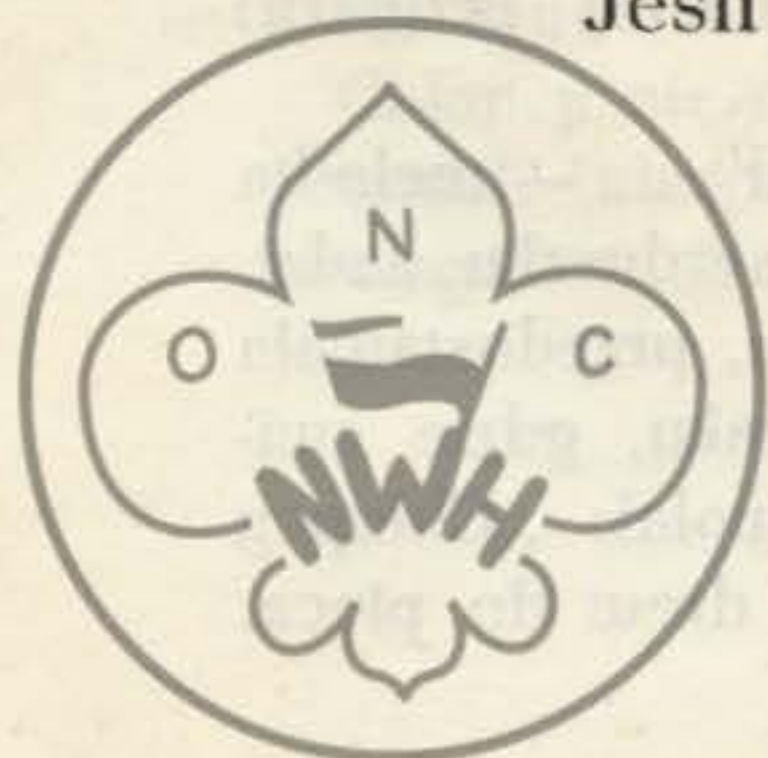
ZBROJA ZAWISZY



A kiedy się już zbierała wyprawa krzyżowa,
Przyszedł Czarny pan Zawisza Sulimczyk z Grabowa
Do płatnerza sławetnego krakowskiego cechu,
Co w fartuchu i z młotem, arcymistrz od miechu;
Który go witał pokłonem, znał rycerza z twarzy,
Zaś Zawisza mu na ramię rękę wsparł i gwarzy:
„Słyszałeś to, bracie, o tym, że cny król Jagiełło
Wbrew rycerzom pod mieczami krwawe podjął dzieło;



Już poluje het po puszczach i zwierzynę bije,
Aby miało jeść co wojsko, gdy dźwigną kopije.
A gdy z dala od cesarza rzymskiego na dworze,
Gdziem w estymie był okrótniej i w srogim honorze,
Posłyszałem, że się Polska do boju porywa,
Wrażem jechał, aby łańcuch nie był bez ogniwa,
Uróbże mi, proszę, bracie, zbroję, jak się patrzy,
Nową zbroję na bój święty, od tego nie gładszy,
Jaki ze mną Aragonu król, Jan, niegdy zwodził,
A którego wyparł z siodła, ledwom go ugodził.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach blachy,
Abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy;
Ma być zbroja szmelcowana, bym, jak miesiąc lśnił się,
By poznali, gdzie Zawisza i kędy on bił się“.
Gdy powiedział tak, zaraz się mistrz zabrał do pracy,
Kazał sobie dać do miechów dwóch tęgich dmuchaczy,
By dmuchali wiatr na węgle, a sam miarę bierze,
By Zawiszy postać zwierzyć. „Mierz bracie, a szczerze,“ —
Mówi rycerz — „bom ci to ja nie nawykły ciasno;
Lubię słyszeć brzęk zbroicy, gdzie ją stałą głasną,
I jest dla mnie to nie małą, płatnerzu, uciechą,
Gdy mi dźwięknie między zbroją, a sercem, jak echo.
Już też długo krzyżak polskie pogranicze derbił,
Czas by mu się na łbie twardym polski miecz wyszczerbił.
Wstanie Polska, jak lew z leży, i mocna i mściwa,
Więc mi kuj zbrój, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach blachy,
Abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy,
Na ramiona kuj mi grubo, bym, gdy się zamierzę,
Taki ciężar miał u miecza, jak z kopalń minerze;
Grubo kuj mi zbrój na uda i nagolenniki,
Bym parł konia, jak kra drzewo, kiedy runę w szyki.
Li na piersi kuj mi cienko, cienko jak opłatek;
Niechaj będzie stał, tak cienka, jak liliji płatek,
Jako lilię kuj od przodku, bym też za Ojczyznę,
Jeśli Niemiec to potrafi, wziął na piersiach bliznę!“





JANEK WARSZAWIAK

Był sierpień 44 roku. Rozdawałyśmy zupełnie ewakuowanym z Warszawy transportom i usiłowałyśmy się czegoś dowiedzieć od oszołomionych kobiet, ale nie było to łatwe. Patrzyły na nas z nieufnością. Biadoliły o pogubionych rzeczach, starały się upewnić, że oddadzą im zabrane przedmioty, bo przecież są one „Cywilne“ i na polityce się nie znają. . .

14-letni Janek był pierwszym, który wspominał o powstaniu. Zachwycał się walkami i bohaterstwem żołnierzy. Z ogniem w oczach mówił o podkopach pod niemieckie pozycje, o placówkach w piwnicach, o niszczeniu czołgów. Sam był łącznikiem — dwa razy przechodził kanałem — wspominał o tym tylko tak, od niechcienia, jakby to nie było nic nadzwyczajnego. Zabrali go z domu na Grójeckiej, dokąd wpadł tylko na parogodzinny „urlop“. Wzięto go z babką. Matka zginęła zaraz pierwszego dnia, a ojca rozstrzelano na

ulicy; starsi bracia walczyli gdzieś w śródmieściu. Chciał uciec z transportu ewakuowanych w Pruszkowie, ale mu się nie udało.

W kobiecej części obozu przebywał tylko parę dni. Razem z innymi chłopcami ponad 10 lat przeniesiono go do bloków męskich i spotkaliśmy się dopiero w listopadzie.

Zbliżał się front i pośpiesznie ewakuowano Oświęcim. Wywieziono znaczną część więźniów do Niemiec, a resztę ulokowano w innej grupie obozowych baraków. Obóz kobiet powoli zniknął z powierzchni ziemi — rozbierano baraki, likwidowano urządzenia. Wynosiłyśmy pościel, stoły, szafy, rozbijałyśmy prycze. Pomagali nam w tej pracy chłopcy z powstania a wśród nich Janek.

Były to „złote czasy“ Oświęcimia. Najokrutniejsi S.S.-mani i dozorcynie już uciekli. Rozluźniała się panująca tu dotąd żelazna dyscyplina. Wprawdzie, kiedy przyłapano na jakimś obozowym „wykroczeniu“, to bito w twarz, jak dawniej, ale nie miał kto pilnować i nie miał kto łapać. Kierownicze stanowiska w obozie obsadzono teraz Polakami, którzy na wszystko patrzyli przez palce. Nic więc nie przeszkadzało naszej przyjaźni z chłopcami.

„Żołnierz drogą maszerował“ . . . — melodia i słowa znanej piosenki o serduszkach Jadzi, które żołnierz niósł w plecaku, przedostawała się przez cienkie ściany baraku, gdzie związałyśmy koce. Gdy ktoś zawołał: „Chłopcy idą!“ — zaraz dorzucałyśmy drewno do pieca.



Za chwilę wpadali gromadą, kuksając się i popychając, ale nie zapomnieli nigdy rzucić od wejścia grzecznego „dzień dobry“. Skupiali się przy piecu, wyciągając czerwone ręce do płomienia, odmrożone nosy ponosiły w bladych twarzyczkach.

Było ich 30. Od zalęknionych „maminych synków“ do zuchwałych wyrostków i zawalidrogów. Słownik ich był okropny — typowy żargon warszawskiej ulicy, ale z nim razem posiadali jej humor, zapal i dzielność.

Janek występował przed front i z patykiem w ręku zaczynał:

— Raz, dwa, trzy! . . . —

Chłopcy zgranym chórem śpiewali wiankę ulubionych piosenek żołnierskich. Potem 10-letni Józef popisywał się deklamacją, a później „bawili się“. Ze stosu galganów i kołder budowali fortecę i zdobywali ją szturmem. W dziecinnej zabawie odtwarzali to, co tak niedawno przeżyli na jawie; zdawało się, że już śladu nie zostało po tamtych przerażających doświadczeniach i wrażeniach. Śmiech i krzyki zapełniały barak, a przed nim „czujka“ wypatrywała uważnie, czy nie idzie jakaś niemiecka inspekcja.

Cechował ich ten sam dobry humor i koleżeństwo podczas pracy. Ledwo od ziemi odrosły „gentleman“ wyrwał nam z rąk ciężkie wałki kołder.

— Nie pozwolę, żeby się kobiety męczyły! — i sam nieraz upadał pod ciężarem zbyt wielkim na jego jedenaście lat.

Na Boże Narodzenie urządziłyśmy „choinkę“. Za zgodą „capo“ — dozorczyńi (była nią Polka, więźniarka polityczna) kilka koleżanek całymi dniami szyło podarki gwiazdkowe dla chłopców. W dzień wigilijny w pustym już baraku ustawiło się na piecu tacę z „kanapkami“ — chleb, margaryna i dużo marmelady — a obok leżały rękawice i nauszники, uszyte wykradzionymi nićmi z wykradzionych Niemców koców.

Chłopcy nie dali się zaskoczyć i także przygotowali niespodziankę. Pod batutą „blokowego“ — Volksdeutscha ze Śląska, który

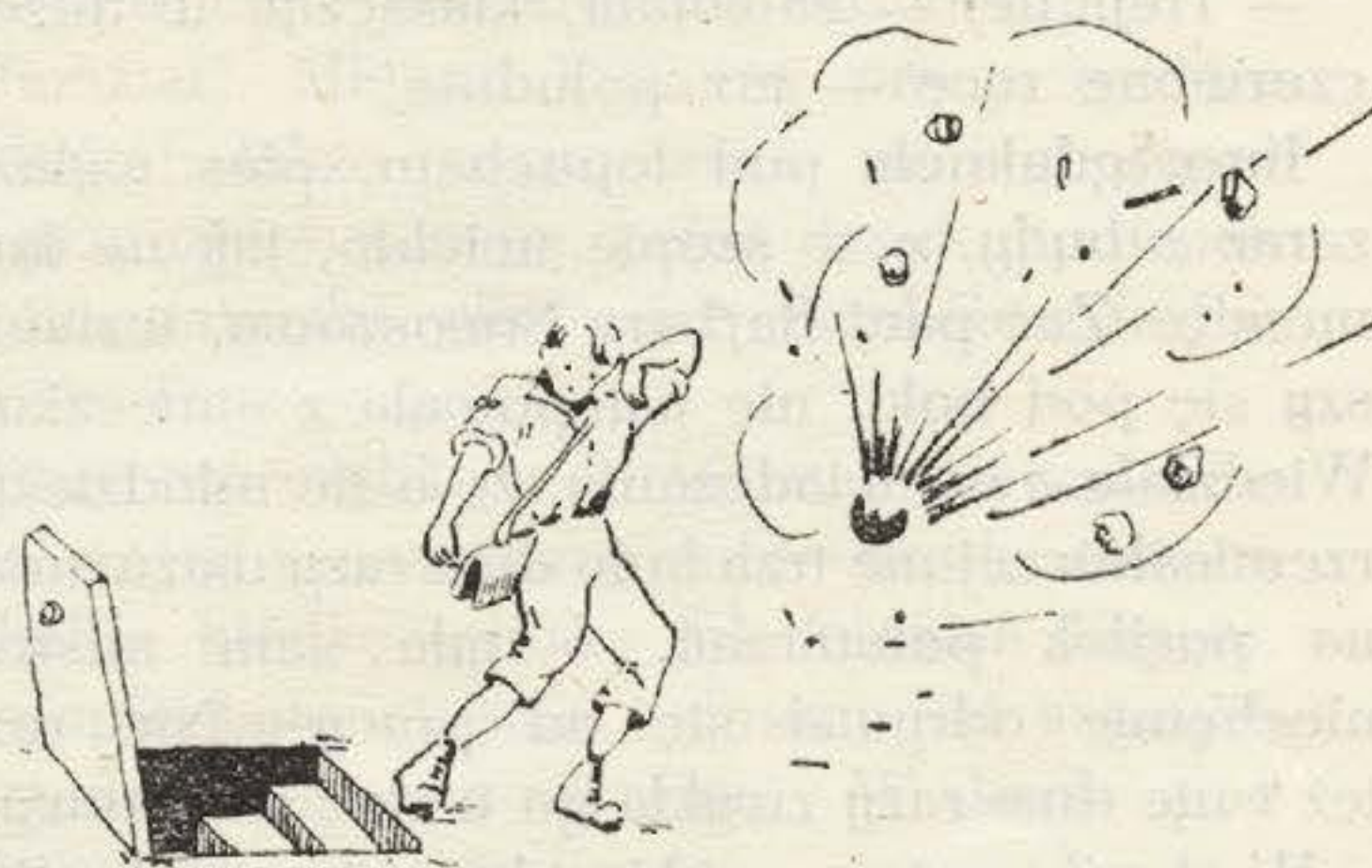
jednak czuł się Polakiem i serdecznie opiekował się „Warszawiakami“, chłopcy odśpiewali kolendy i narodowe piosenki. Janek z patriotycznym wzruszeniem zadeklamował wiersz o Jurku Biczanie — obrońcy Lwowa w 1920 r. Wszystko to przypomniało tyle razy widziane „choinki“ w szkole powszechnej w tych dawnych, niepowrotnych czasach przedwojennych, na „wolności“. Tylko „czujki“ przed blokiem strzegące naszego bezpieczeństwa i pusty, nędzny barak przypominały, że to obóz koncentracyjny w Oświęcimiu.

W Bergen-Belsen, już po wejściu Anglików, na jednym z bloków męskich, gdzie leżeli chorzy, ktoś na mnie zawołał z barłogu w kącie. Był to Janek-Warszawiak. Poznałam go z trudem. Zżarła go praca w fabryce pocisków przeciwlotniczych w Altenburgu. Teraz zaatakowała go gruźlica. Kaszłał, ale nie tracił miny.

— Wykaraskam się, zobaczy pani. Teraz miałbym się dać? —

Pytałam o innych chłopców z Warszawy, którzy razem z nami byli w Oświęcimiu. Wielu z nich zmarło na tyfus, na gruźlicę, kilku zginęło podczas bombardowania transportu, reszta rozbiegła się — nie wiadomo gdzie.

Ze wszystkich dzieci, jakie znałam w Oświęcimiu i Belsen-Bergen dziś żyje tylko Janek — Warszawiak. Przemógł chorobę i pracuje w polskiej gminie Bardowik. Pracuje jako „łącznik“ — jak w lecie 44 roku w powstaniu.



Beata Obertyńska

O Wicie Stwośzu i złołnikownie Krystce

W rozległej szopie, przypartej bokiem do muru podwórza, od wczesnego rana chrząkały heble i młot uderzał krótko w drewniany trzon dłuta. Czasem dolatywał z głębi czyjś głos gromki i rozkazujący, albo słyhać było, jak z hukiem spadała deska na deskę, a potem odzywało się znowu kucie młota czy niecierpliwy, syczący świst piły.

Dzień był pogodny, czerwcowy. Górą sunęły obłoki białe, pierzaste, idące sobie poza Kraków, poza Wisłę, Bóg wie kędy i po co. Było południe. Zmęczony upałem pies schował się do budy, a pod kłapciastym łopuchem, zarastającym brzegi podwórza, spało w gorącym piasku kilka kur. Bo kury, obłoki i łopuchy już wtedy, przeszło czterysta pięćdziesiąt lat temu, były całkiem takie same, jak dziś...

Nagle otworzono szeroko drzwi, wiodące z domu na podwórze, i na drewnianym ganeczku stanęła jejmość zażywna, w misternym czepcu na głowie.

— Hej, hej — zawołała, klaszcząc w duże, czerwone ręce — już południe!

Kury gdaknęły pod łopuchem, pies wylazł zaraz z budy, a w szopie ucichło, jak na komendę. Zaś pani Barbara Stwośzowa, wzięwszy się pod boki, nie ustępowała z ganeczku. Wiedziała z doświadczenia, że o ile młodziemy rzemieślniczej nie trza było dwa razy wezwania na posiłek powtarzać, o tyle sam mistrz niechętnie odrywał się od pracy. Nie raz też i nie dwa razy zwykła go wołać do strawy.

W chwilę potem wąskie, drewniane schodki zadudniły od kroków czeladników, Jedni po drugim pozdrawiali pięknie panią majstrową i pchali się gromadnie ku drzwiom. Czy to

nie wiedzieli, że czeka ich smaczny krupnik i kromy chleba sążniste, a potem schab wieprzowy i kubek zimnego piwa. Odpoczynek zaś w chłodnej o tej porze izbie uśmiechał się wszystkim po długiej robocie.

I dopiero, kiedy ostatni zniknął w drzwiach, a cierpliwość pani Barbary zaczęła się wyczerpywać, spod niskiego daszka szopy wyszedł mężczyzna w sile wieku, barczysty i brodaty, rękawem ocierając pot z czoła. Kabat rzucił, widocznie z powodu gorąca, i białe rękawy koszuli wyzierały mu spod skórzanego, kolan sięgającego fartucha.

— Zawszeście ostatni! — krzyknęła w udanym gniewie żona. — Miasto krup widno wolicie w zupie muchy! — A kiedy podszedł bliżej, spytała życzliwiej: — Dobrze wam dziś idzie?

— At... — machnął niechętnie ręką. — Nie wiecie to, jakie drzewo drewno umie być uparte? Ni jak ludzkiego pomyslenia w siebie przyjąć nie chce.

— Nie mówilibyście byle czego! Małoż to wam przewielebny ksiądz Heydek nachwalił świętego Jędrzeja, albo i Tomasza? Nikt piękniej od was figur takowych wyrzezać by nie zdołał. Już tam rajce miejsca wiedzieli, co robią, robotę ołtarza wam oddając. Nie bójcie się!

Wit Stwośz uśmiechnął się jak dziecko, smutno.

Bym jeno mógł wszystko zmajstrować, jak mi się w myślach zwiduje! — westchnął. — Chodźcie, matka! Gorąc dziś bucha z nieba, jak z pieca. Odpocznę rad.

Ociagliwie i sennie wracali towarzysze do roboty. Jadło i krótki, pośpieszny sen w kącie

czeladnej izby otumanily ich raczej niz pokrzepily. Przeciągali się też szeroko i ziewali, jak najęci.

— Nie pospalby to człowiek jeszcze krzyne? — wzdychali, mijając słoneczne podwórze.

Na ganku zatrzymało się dwóch, niedawno do warsztatu przyjęty Błażek i Stanko, syn i prawa ręka mistrza Wita. Obaj zgubili oczy w ogródku sąsiada, widnym stąd, bo go przed ich spojrzeniem nie mógł zasłonić niski murek.

— A to co za jedna? — zapytał Błażek, pozierając ku wirydarzowi w zdumieniu. — Jakbyś na świętą patrzył.

— Bo też i jest ona do inszych dziewczek niepodobna — pokiwał głową młody Stwosz. — Do klasztoru się ojcu naprasza, a on nie i nie. Bo i jakoż ją ma pan Kuncer za kratę klasztorną dać, skoro jedna u niego jest doma!

Zdziwił się Błażek jeszcze więcej. — A więc to owa złotnikówna, o której twoja mać powiadała, że klucze po omacku zdejmuje i do kościoła chadza z zamkniętymi oczyma przy miesiącu.

— No — przyznał temten. — Jeno odkąd się to przydarzyło, mistrz Kuncer klucze od bramy do siebie na noc zabiera i raz po raz wstaje patrzeć, czy znowu gdzie śpiąca po domu nie wędruje.

— Śpiąca, powiadasz? I zawždy przy miesiącu to bywa? A może też i urok na nią rzucili?

— Jakże urok, kiedy do kościoła ją ciekawość ciągnie w onym spaniu.

Namysłili się obaj.

— Matka powiadają jeszcze — dodał Stanko — że najgorzej taką budzić z nagła. Trzeba cicho być i odczekać, aż to minie samo.

... A Krystka, córka złotnika Kuncera nie wiedząc, że po tamtej stronie muru o niej gadają, karmiła z ręki siwo-tęczowe gołębice. Siedziała na ławie kamiennej, rzeźbionej, w szatce bladej, jak spelzły barwinek, a wąskich jej palców czepiały się koralowymi łapkami nadlatujące gromadą ptaki. Zeschypywały jej z dłoni złote jagły i śpiewnym, chłodzącym pogwizdem skrzydeł odwiewały raz po raz z nad dziewczęcęgo czoła włosy jasne, wstążeczką waziotką tylko przytrzymane.

Krystka lubiła gołębice. . . Umiały tak wysoko wzbijać się w powietrze, że nikły, w błękit wtopione, tak właśnie, jak to robiła w myślach ona sama.

Mistrz Wit nie może spać. Choć cisza zaległa już całą kamienicę, choć nocne straże otrąbiły późną godzinę nad miastem, on spać nie może. Pod zamkniętymi powiekami widzi wciąż postacie swego ołtarza. I tamte, które wykończył, i te, które mu dopiero z drzewa wyluskiwać przyjdzie, a które w natchnionej jego wyobraźni mają już teraz swój żywy kształt i ruch. Tak było z każdą rzeźbą: ze świętym Piotrem, Tomaszem, Andrzejem, Janem. Aż utknął nagle. Najważniejsza postać, ta, ku której chwale cały ołtarz miał być ubudowany, nie objawiła mu się dotychczas. Żaden kształt ni ruch nie wydawał mu się dość pięknym, by mu można było godnie powierzyć wyobrażenie Najświętszej Panny w chwili Jej śmiertelnego uśnięcia.

Mistrz Wit wciąż jeszcze czuwał. Niepokój go trawił i troska, czy zdoła kiedy on, człowiek śmiertelny i grzeszny, tamtą czystość i tamto nieśmiertelne piękno wyobrazić w drzewie.

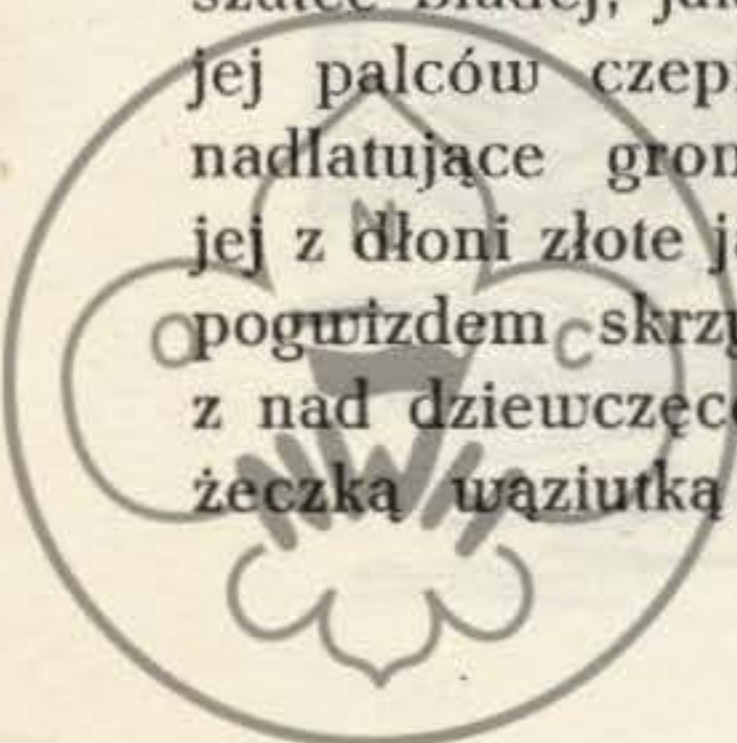
Dusznno tu w izbie. Przez wąskie okno wlewa się do jej wnętrza poświata miesiąca martwa i nieruchoma. Dusznno.

Cicho, by nikogo z domowników nie zbudzić, odziewa się mistrz Wit i drzwi od sieni na ganeczek uchyla. Noc jest jasna, wysoka. Wyraźny cień dachu zalega pół dziedzińca. Tamtą połowa, aż po zamkniętą na noc szopę warsztatu cała jest srebrna od księżycy.

Warsztat! Miejsce Witowej pracy, trudów i radości! Jakże mocno zrosło się jego serce z tą przewiewną szopą, pełną desek, lipowych kłoców, narzędzi, glinianych garnków z farbą, wiórów i pajęczyn!

Minąwszy szybko podwórze, otworzył kluczem, który zawsze przy sobie nosił, wiszącą u skobla kłódkę, ciężką jak końskie kopyto. W szopie było ciemno i duszno od zapachu nagrzanego upałem drzewa. W kącie pod deskami ćwierkał świerszcz.

Nad znalezionym po omacku kagankiem kłapnęło krzesiwo raz i drugi, a potężna dłoń mistrza osłoniła nikły pazurek płomyka, by



się na dobre na knocie osadził. W drugim kącie szopy stały rządem pod ścianą wykończone już zupełnie figury apostołów. Czekali oto olbrzymi, odświętni w swych długich, fałdzistych szatach, malowanych głębokim szafirem i czerwienią, skropioną gdzieniegdzie pozłótką, która ożyła w świetle. Kiedy blask kaganka i płochliwie cienie wahały się kolejno na ich wyrazistych twarzach, wydało się nagle Witowi, że święci patrzą na niego

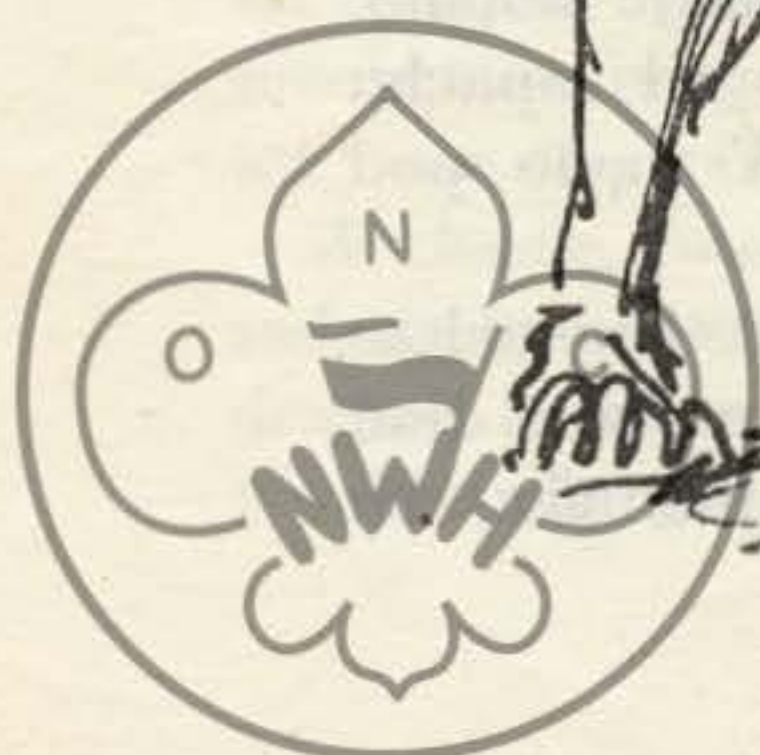
z niemym żalem i wyrzutem. Zeszli się tu, aby Ją uczcić i pożegnać. Są już prawie wszyscy. Gdzież Ona!? Nie widzą jej pośród siebie.

Mistrz postawił kaganek na brzegu warsztatu, a sam siadł ciężko na zydlu i głowę markotnie ręką podparł.

— Bym jeno znalazł, bym jeno utrafił i postać i urodę i świętość! — myślał z rozpaczą.

Nigdy już potem przypomnieć sobie nie umiał, jak długo tak siedział. Może to była chwila, a może godzina albo i dwie. Nagle usłyszał nikły chrzęst trzask i szelest niewieściej szatki, wleczonej po suchych wiórach.

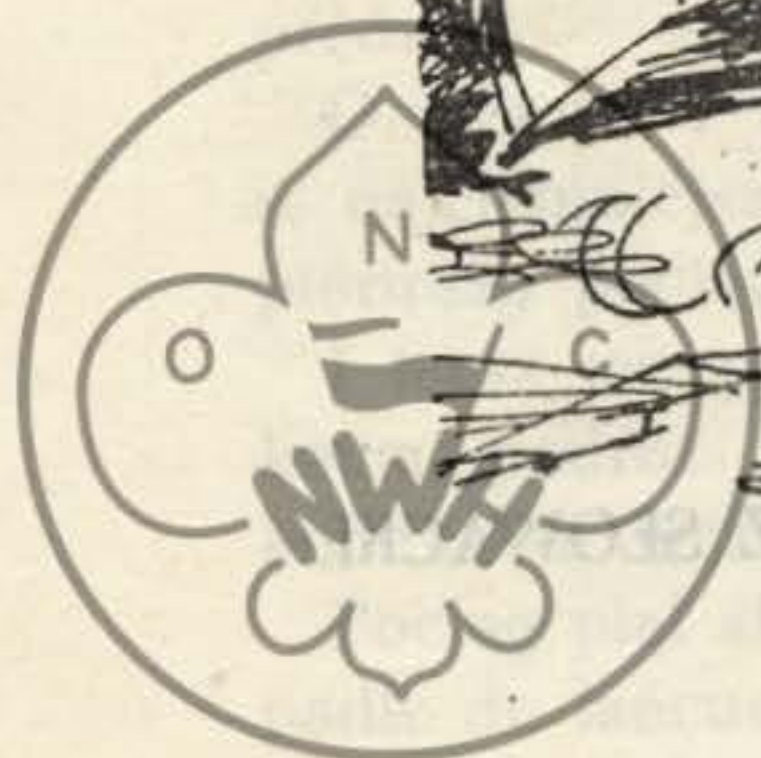
Spojrzał i zdumiał... Razem z poświęcą miesiąca wchodziła do drzwi warsztatu postać jakaś smukła, dziewczęca, urzeczonym



ruchem sunąca wolno przed siebie. Nim miał czas się odezwać, nim pojął, co się dzieje, na progu zjawił się ktoś drugi. To złotnik Kuncer, sąsiad i przyjaciel Stwoszowy. Ujrzawszy mistrza, rozpaczliwymi ruchami starał się mu nakazać milczenie.

W ciszy, przerywanej tylko chrzęstem wiórów i cykaniem świerszcza, sunęła Krystka przez mroczny warsztat ku świętym. Oczy miała snem głębokim zwarte i tylko wyciągnięte ręce szukały przed sobą drogi na powietrzu. Ojciec jej szedł tuż za nią i oczu z niej nie spuszczał, gotów w każdej chwili w ręce schwytać padającą. Postępowali tak wolno, krok za krokiem, a Stwosz z głuchym dudnieniem serca w piersi patrzył na niesamowitych gości. I kiedy Krystka była już całkiem blisko świętych rzeźb, mistrz Kuncer, źle widząc, wymierzywszy kroki, zaczepił nogą o drąg jakiś, a ten z hukiem i łomotem stoczył się na deski. Odgłosem tym jakby w plecy pchnięta, Krystka zachwiała się, zakolysała i ważyć się jęła całą postacią naprzód. Złotnik krzyknął głośno i przypadł do córki. Lewą ręką w pół ją chwycił, a prawą obie jej dłonie bezwładnie na powietrzu wiszące, zagarnął i podtrzymał.

A Wit Stwosz nie ma siły ruszyć się z miejsca. Dziwna chwila, krótką przeżył, napięcie wielkie i niespodziane, a teraz ta dziewczeczka, roslemu brodaczkowi przez ręce lecąca: wszystko to zapaliło w jego mózgu promień jakiś jasny, przesywający, który aż do serca mu dotarł. I oto nagle wie, na pewno wie,



jak będzie wyglądało uśnięcie Najświętszej Panny w ołtarzu Mariackim.

Kiedy dnia 15-go sierpnia roku 1489, w sam dzień Wniebowzięcia, opadła zasłona, kryjąca gotowy ołtarz, tłumowi, zebranemu w kościele, tchu zabrakło z zachwytu.

Z podwyższenia, nakrytego baldachimem, patrzył Kazimierz Jagiellończyk, a z nim małżonka jego, Elżbieta, oraz królewicze Olbracht i Zygmunt, gdy brat ich, młodziutki biskup Fryderyk, dokonywał uroczystego poświęcenia.

Czterdzieści siedem lat minęło od dnia, kiedy sklepienie kościoła zawaliło się, miażdżąc dawny, przez Wierzyńka jeszcze fundowany ołtarz. Trzydzieści pięć lat czekał Kraków na mistrza, któremu by godnie powierzyć można stworzenie nowego. A potem dwanaście lat pracował Stwosz. I oto nareszcie zdumiony tłum wpatruje się w gotowe jego dzieło. Szmer rozchodzi się po kościele. Odkąd Kraków Krakowem, takiego cudu nie oglądano jeszcze.

Olbrzymie, szeroko rozwarte boczne skrzydła ołtarza, całe pokryte rzeźbą, i środkowa grupa, pełna wyrazu i świętości, wreszcie to strzeliste, lotne, wysoko w powietrze wyniesione wyobrażenie Trójcy Świętej, koronującej Najświętszą Pannę — wszystko to jawiło

się olśnionym oczom tłumowi, jak żywe.

Toteż w kościele aż huczy. Ludzie pchają się jeden przez drugiego, by lepiej widzieć to чудо. Słyszą westchnienia, szepty, nawet płacz, Moźni panowie i dwór, mieszczanie, szczęśliwi dziś i dumni, bo ich to ofiarności jeno zawdzięcza Kraków Stwoszowe dzieło, wreszcie i obcy, z dalekich nieraz stron przybyli kupcy — wszyscy patrzą na ołtarz jak urzeczeni.

Mistrz Kuncer zaś nie widzi niczego prócz wiedzniejszej jakby w rękach apostoła postaci Najświętszej Panny. Jego najmilsza Krystka dostąpiła oto zaszczytu, o jakim nigdy on, jej ojciec, nawet nie marzył.

— Więc widać tak sądzono, więc widać sam Bóg cię chce dla siebie — myśli ojciec wzruszony i czuje nagle, że już się dłużej prośbom córki o welon mniszki opierać nie będzie. Odkąd takiego dostąpiła zaszczytu, najpierwsze bogactwa i godności światowe straciły w jego oczach blask wszelki.

I tak to, ani wiedząc, dopomógł mistrz Wit cichej, pobożnej dziewczeczce, by się spełniło największe pragnienie jej życia, a ta cicha, pobożna dziewczeczka, ani wiedząc, pomogła mistrzowi, by imię jego, z największym dziełem lat owych złączone, przetrwało wieki.

BIADA, KTO DAJE OJCZYŹNIE PÓŁ DUSZY

(wyjętek z III pieśni „Beniowskiego“)

Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa,
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Które by kiedyś Bóg rozumiał,
I będzie jak ten dąb umarły szumiał.

JULIUSZ SŁOWACKI.



archiwum

PROBOSZCZ Z ST. JEAN-PIED-DE-PORT

Pociąg ruszył. Z uczuciem ulgi spoglądałam na mijane zabudowania stacyjne i uciekające coraz szybciej napisy PAU, PAU, PAU. Do uszu dobiegało mi syczenie lokomotywy, pociąg posuwał się wolno w górę.

Poranne słońce rzucało poprzez mijane drzewa do mego przedziału mozaikę światła. Pozostawione w tyle miasto bielilo się z daleka zamieniając się w jakiś odległy, jasny punkt.

W moim przedziale było pusto. Ulegałam złudzeniu, że w całym wagonie jadę ja jedna.

Staralam się zebrać myśli. Wszystko zdawało się być nieprawdopodobnym snem. Zaledwie przedwczoraj odebrałam z Prefektury w Grenoble moją visa de sortie na fałszywy paszport. Tego samego dnia w błyskawicznym tempie spakowałam rzeczy, odebrałam plikę „ważnych papierów“ od Janusza i opuściłam Grenoble nie żegnając się z nikim. W Marsylii widziałam jeszcze Marię i Henryka. Powierzili mi oni dwa listy, które za wszelką cenę musiały być dowieszone do Anglii. Wszylam je pod podszewkę płaszcza z nieprzyjemnym uczuciem, że robię głupstwo.

Podróż z Marsylii do Pau była prawdziwą udręką. Trzymając kurczowo walizkę stałam całą drogę w uchylonych drzwiach wagonu, na stopniach którego siedziało jeszcze parę osób. Do Pau dojechaliśmy późnym wieczorem. Stłoczony, umęczony tłum wysypał się na peron, a potem rozplął w wązkich uliczkach idących w górę miasta. Trzymając się jakiejś grupki osób oddalałam się szybko od stacji. Nie chciałam, aby mnie zauważano idącą samotnie. Polecony mi hotel znalazłam bez trudu. Pomimo zmęczenia nie mogłam spać. Wiedziałam, że Pau jest naszpikowane agentami, trzeba było od nich uciec czem prędzej.

O 5-ej rano wróciłam na stację i wtulona w najciemniejszy kąt poczekalni czekałam na pierwszy pociąg do Campfranc.

I teraz ten pusty pociąg. Spokojna sielankowa podróż stanowiła nieprawdopodobny kontrast z wczorajszą męczarnią.

Pociąg pisał się leniwie w górę idąc prostopadle do łańcucha Pirenei. Krajobraz zmienił

się. Mijaliśmy lesiste zbocza, ostre, szare skały, a po lewej stronie toru kolejowego rwał się gwałtownie i pienił bystry potok. Surowa i poważna natura harmonizowała się z moimi nastrojami. Każda minuta zbliżała mnie do tej niepokojącej próby. Granica była coraz bliżej i bliżej. Na samą myśl o rewizji doznawałam sprzecznych uczuć. Bałam się i było mi przykro zdać sobie z tego sprawę. Pociągałam się naiwnie, że przecież nie jedną już granicę przechodziłam w podobnych warunkach. Tylko, że tym razem mogłam „wpaść“.

Pociąg zatrzymał się nagle na jakiejś maleńkiej stacyjce i gdy ruszył znowu usłyszałam na korytarzu kroki. Ktoś zbliżał się do mego przedziału. Serce biło mi gwałtownie. Bałam się podnieść głowę. I dopiero „Bonjour Mademoiselle“ — zmusiło mnie do spojrzenia w stronę przybysza. Do przedziału wszedł ksiądz, średniej tuszy i średniego wzrostu. „Bonjour Monsieur le Curé“ — odpowiedziałam możliwie spokojnym głosem. Uśmiechnął się łagodnie, zamknął starannie drzwi za sobą i rozsiadł się wygodnie na poduszkach. Kapelusz jego zdradzał, że musiał być proboszczem. Sutannę miał mocno zniszczoną, a ręce bardzo spracowane. Wyciągnął z kieszeni brewiarz, ale nie otworzył go. Spojrzał na mnie uważnie i zapytał: „opuszczasz Francję moje dziecko?“

Drgnęłam. Pytanie to wzbudziło we mnie tysiące wątpliwości. A może to przebrany agent? Może chce mnie wybadać zanim dojadę do granicy? Ksiądz musiał zauważyć moją rozterkę, bo nie czekając na odpowiedź począł się zachwycać pięknem gór. Wielkie dzieło Boże, cudowne dzieło Boże — powtarzał. Jechał do swoich parafian mieszkających nad samą granicą. Mówił tak na wpół do mnie, na wpół do samego siebie. Byłam mu wdzięczna, że nie zadaje więcej pytań.

Pociąg zwałniał biegu. Ksiądz spojrzał na mnie uważnie. „Wysiadam za chwilę — rzekł — Jeżeli będziesz w kłopotie podczas rewizji moje dziecko, to powiedz wysokiemu chłopcu w szarym ubraniu, że go pozdrawia proboszcz z St. Jean-Pied-de-Port. Jedź z Bogiem“.

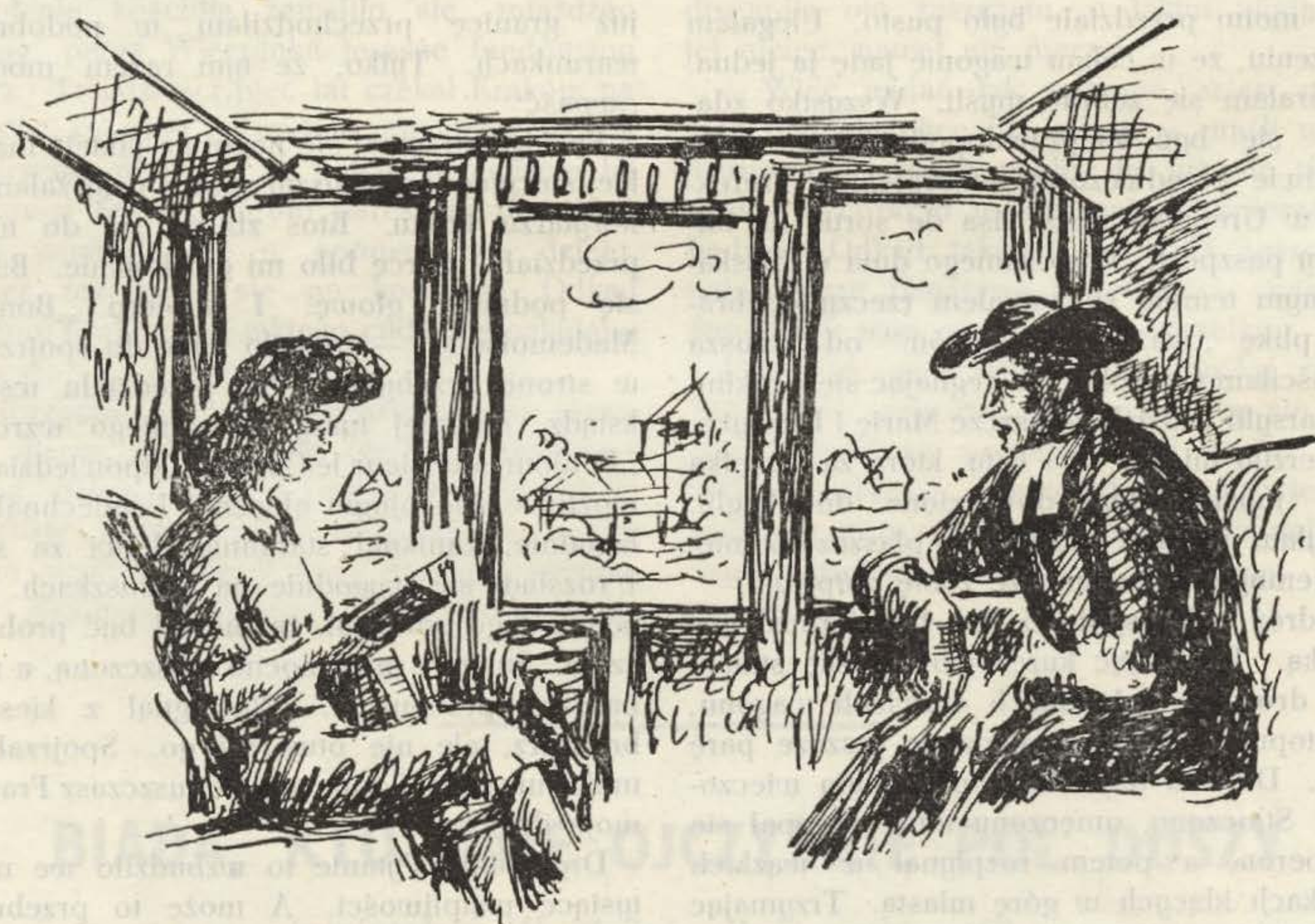
Wstał szybko i opuścił przedział. Widziałam go jeszcze na małej stacyjce, podchodzącego do paru czekających na niego osób.

W godzinę po tym dojechałam do Campfranc. W miarę zbliżania się rewizji opanowywał mnie jakiś dziwny spokój.

W komorze celnej czekało na mnie pięciu urzędników. Odebrano mi walizkę. Paszport mój nie wzbudzał zaufania. Przeglądano go kartka za kartką i naradzano się półgłosem. Kazano mi przejść do sąsiedniego pokoju. Siedział tam wysoki, młody człowiek. Nie patrząc na mnie zakomunikował, że będę

musiała poddać się rewizji osobistej. Zrobiło mi się słabo. Wynik rewizji mógł być tylko jeden. I nagle zauważyłam, że rozmawiający ze mną urzędnik ma szare ubranie. W uszach zadźwięczały mi słowa mego dziwnego towarzysza podróży.

„Proboszcz z St. Jean-Pied-de-Port pozdrawia Pana“ — powiedziałam szybko i cicho. Młody człowiek drgnął. Wstał, ujął mnie za rękę i poprowadził przez szereg korytarzy do niewielkiej izby. Tam przygarbiona i pomarszczona staruszka dała mi coś do zjedzenia i przeżegnała, gdy wychodziłam. Przez cały



czas nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Wracaliśmy tymi samymi korytarzami do komory celnej.

„Przy rewidowanej nic nie znaleziono“ — zakomunikował młodzieniec „w szarym ubraniu“. Na paszporcie przybito cały szereg pieczętek. Mogłam jechać dalej.

Pociąg do Madrytu ruszył z Campfranc o 2-iej po południu. Stojąc w drzwiach poczekalni, mój wybauca zegnał mnie smutnym, poważnym spojrzeniem.

Wyjechaliśmy z ciasnej, dusznej kotliny. Pireneje łagodnymi, szerokimi, bezdrzewnymi stokami spływały do serca Hiszpanii. Droga

kolejowa szła z boczem olbrzymiego, zielonego wzgórza. Skąpaną w blasku popołudniowego słońca szeroką dolinę przecinała, błyszcząca, niebieska wstęga rzeki.

Znikła ostra i surowa przyroda północnych Pirenei, znikły moje lęki i niepokoje.

Dziś, po latach, często przed oczyma mi staje postać Proboszcza z St. Jean-Pied-de-Port. Czy umiał skryć się przed widzącym wszędzie okiem Gestapo? Nie wiem. —

Wdzięczną niechaj będzie pamięć o tym, który czuwał nad granicą hiszpańską.

M. I. J



Sprawa wynalezienia sztucznej wełny jest zagadnieniem stosunkowo nowym, które do-czekało się praktycznego rozwiązania we Włoszech dzięki wynalazkowi Antonio Ferretti. W czasie wojny włosko-abisyńskiej za-stosowano — jak wiadomo — wobec Włoch sankcje gospodarcze. W konsekwencji tego stanu rzeczy Włochy zaczęły odczuwać brak szeregu surowców, między innymi wełny. Uczni włoscy, przy wydatnej pomocy finan-sowej rządu, wszczęli badania, w rezultacie których A. Ferretti opracował metodę otrzy-mywania z kazeiny sztucznej wełny, nazwanej przez niego **lanitalem**.

Już na długo przed tym przeprowadzono próby, mające na celu otrzymanie z kazeiny materiału, dającego się prząść. Franciszek Todtenhaupt całe swe życie poświęcił pracy nad wyprodukowaniem z kazeiny sztucznego jedwabiu. Również i inni badacze w Niem-czech, Francji i Holandii zajmowali się tą sprawą. Nowością pomysłu Ferrettiego jest to, że zauważywszy podobieństwo składu chemicznego kazeiny i wełny, usiłował on otrzymać z kazeiny nie jedwab, a wełnę.

Należy tu zauważyć, że podstawowym ciałem białkowym, tworzącym wełnę, jest **keratyna**, której skład jest zbliżony do **albuminy**, czyli białka jajka kurzego.

Metody otrzymywania lanitalu, produkowa-nego we Włoszech, trzymane są w tajemnicy. Znany jest wszelako ogólny przebieg produkcji.

Lanital otrzymuje się z kazeiny, czyli ser-nika, strąconego z mleka przy pomocy kwasu. Strąconą kazeinę poddaje się gruntownemu oczyszczeniu dla usunięcia reszty kwasów

mineralnych, rozpuszczalnych białek i cukru mlekowego. Następnie czystą i suchą kazeinę traktuje się w ugniatarkach odpowiednimi rozpuszczalnikami, aby uczynić ją zdatną do przedzenia. Otrzymany roztwór kazeiny musi przez pewien czas odstać się, po czym prze-puszcza się go przez prasy filtracyjne w celu usunięcia zanieczyszczeń.

Po przeprowadzeniu roztworu kazeiny przez prasy filtrujące i należytym jego oczyszczeniu, tłoczy się go następnie pod wysokim ciśnie-niem przez cieniutkie kapilary. Otrzymane w ten sposób włókno utwardza się w kąpieli, której głównym składnikiem jest formalina. Włókno to zostaje utwardzone nieodwracalnie, to znaczy staje się ono już nierozpuszczalne w poprzednio użytych rozpuszczalnikach. Następuje teraz jeszcze cięcie, mycie i susze-nia otrzymanego włókna.

Ze stu litrów mleka otrzymuje się około 3 kg. kazeiny, a z niej 3 kg. lanitalu, odpowiadają-cego mniej więcej 12 m. bieżącym tkaniny normalnej szerokości (142 cm.).

Rentowność wyrobu lanitalu podnoszą rów-nież w pewnej mierze wartościowe produkty odpadkowe. Ponieważ kazeinę strąca się z dokładnie odtuszczonego mleka, przeto ze stu litrów otrzymuje się śmietankę w ilości odpowiadającej 4 kg. masła. Pozostała po oddzieleniu kazeiny serwatka może służyć jako pokarm dla nierogacizny, lub jako źródło otrzymywania kwasu mlekowego.

Lanital otrzymuje się w postaci białych lub jasno kremowych kłaczków o jedwabistym wyglądzie, miękkich i przyjemnych w dotyku. Powierzchnia włókna jest nieco szorstka, co

umożliwia przedzenie i polepsza właściwości cieplne. Długość włókna waha się od 30 do 50 mm. Należy zauważyć, że długość włókna lanitalu może być dowolnie regulowana przez producenta. Jeżeli chodzi o wytrzymałość lanitalu na zerwanie, to jest ona dużo niższa niż wytrzymałość wełny owczej. Poza tym lanital jest znacznie mniej hygroskopijny, w wodzie pęcznieje minimalnie. Prócz tego należy dodać, że ani rozcieńczone kwasy, ani ługi na lanital nie działają.

Zbyt mało czasu upłynęło od chwili wynalezienia lanitalu, by można było wydać ostateczną opinię o jego wartości praktycznej. Już obecnie można jednak przytoczyć parę niewątpliwych zalet lanitalu, dających mu pod pewnymi względami wyższość nad wełną owczą.

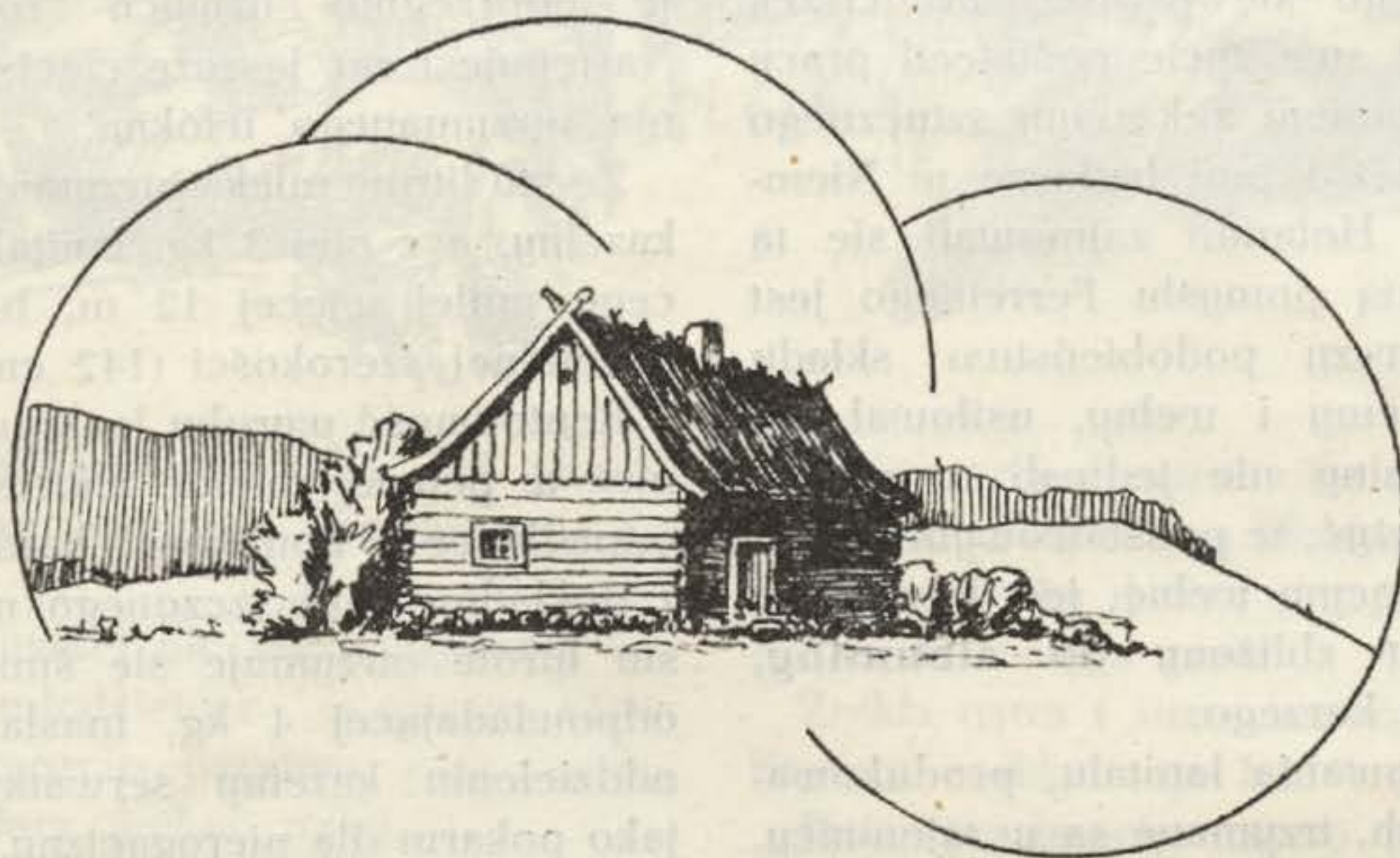
Lanital daje przędzę o stałym gatunku, o jednolitej oraz równomiernej budowie włókna. Ułatwia to i upraszcza przedzenie i farbowanie. W handlu znanych jest 247 gatunków wełny owczej.

Lanital jest zdatny do przedzenia bezpośrednio po wyprodukowaniu. Nie kurczy się w gorącej wodzie i nie atakują go mole.

Rzecz prosta, że lanital ma i swe wady, do których w pierwszym rzędzie należy zaliczyć dużo niższą miękkość w porównaniu z wełną, oraz mniejszą wytrzymałość i mniejszą elastyczność. Te jego ujemne cechy w połączeniu z małą odpornością na pranie mogą powodować w praktyce tracenie przez ubranie fasonu.

Wynalazek lanitalu nie może być uważany za doprowadzony do końca. We Włoszech pracują obecnie chemicy nad skróceniem czasu produkcji, oraz nad usunięciem niektórych wad lanitalu, w szczególności nad usunięciem małej jego wytrzymałości mechanicznej. W tym celu czyni się próby mieszania włókien lanitalu z włóknami wełny naturalnej.

Niewiele jest krajów, posiadających u siebie wełnę naturalną w dostatecznej ilości. To też zdobywanie tego surowca w drodze fabrykacji sztucznej jest dla większości narodów sprawą bardzo aktualną i doniosłą. Zagadnienie to jest szczególnie żywotne w krajach nie posiadających tego surowca i biednych. Podczas wojny staje się ono poza tym bardzo żywotne, a nawet palące dla tych, którzy nie posiadają u siebie i są odcięci od źródeł dotychczasowego importu.



archiwum

J. Weysenhoff „Soból i nanna”

POLOWANIE NA DZIKA



Zimowy las milczał jak zaklęty, drzewa w swych śnieżnych futrach spały wspaniale. Jeżeli gdzie osunął się szmat śniegu i rozproszony przez niższe gałęzie, spadał srebrnymi puchami, to było to raczej oznaką zbliżającej się odwilży, niż jakiegokolwiek ruchu w lesie...

Odezwał się z daleka sygnał trąbki — odpowiedział drugi, znacząc skrajne postępowanie ruszającej na myśliwych naganki. I bardzo słaby jeszcze, ale szeroki i radosny doleciał okrzyk idącego tłumu.

Michał pochwycił sztuciec, odwiódł kurki i, przyglądając się własnym ręką stwierdził, że drżą. Wysiłkiem rozumowania doprowadził się do spokoju. Stojąc nieruchomo jak pień, oczyma tylko lustrował, jak mógł najgłębiej, zwiłkane przepaście leśne.

Od czasu do czasu grał sygnał z daleka to na prawo, to na lewo... Ale naraz zadzwoniło hasło gwałtownie, grane na wielu trąbach w różnych miejscach, fałszywe od wzruszenia i pośpiechu — jednocześnie wybuchł spośród naganki wrzask niby zgrozy i trwogi. Tam już zobaczono dziki.

Nie działo się jeszcze nic w promieniu widoku Michała. Tylko śnieg, zakołysany urzawą, oderwał się i tu i ówdzie od drzew i chlapanął miękko na ziemię, tylko parę sójek zbudzonych zerwało się, wrzeszcząc

i syjąc białe strumienie z miejsc swego odlotu.

Aliści ta pewność, że w pobliżu są dziki, nappełniła bór drżącym niepokojem. — Coś dudni? — Nie to chyba naganka się zbliża. Dudni coraz wyraźniej, trzeszczą chrusty — i znowu przycichło, a nawet okrzyk naganki, choć bliższy, nie tak już namiętny... Teraz idą niewątpliwie, słychać jak łamie się przez gąszcz stado — w powietrzu rozszedł się lekki swąd chlewi i załaskotał nozdrza Michała jak edeński jakiś zapach. Gdyby tędy! Gdyby w tę rzadszą zatokę. Każdy nerw, każdy mięsień młodego strzelca prężył się i pożywał.

Idą! Idą! — ale gdzie? — Śmigają na lewo, jeden, dwa, trzy... jeszcze parę... zaledwie plamy ciemne, szybko przesuwane się poza tą nienawistną przedzą gąszczy i śniegu — cienie, mrzonki już, wspomnienia. I prawdopodobnie zdobycz dla innych... Gdy tak zżymał się Michał, usłyszał na prawo przed sobą skrzypnięcie śniegu, jakby kto w ciężkich butach zbliżał się kłusem. Już pewno strzelec z naganki nadchodzi! Dość obojętnie zwrócił się w tamtą stronę i naraz osłupiał.

Ogromny odyniec wynurzył się z gąszczy i w chwili gdy go ujrzał Michał, stanął przed nim ryjem wprost o jakie czterdzieści kroków.

Mgnienie było wzajemnego namysłu strzelca i zwierza.

— Strzelić go w ryj? Niepodobna! — uprzytomnił sobie Michał.

— Wróg! Śmierć! — charknął rozgłośnie potwór, i będąc już blisko linii, runął przez nią w najbliższe chaszczki za ostęp.

Ale Rajecki trzymał go już pod wymierzoną lufą, przeprowadził przez linię i w chwili gdy odyniec zasuwiał się w krzak strzelił. Poczuli, jak mocna kula z biczowym trzaskiem wywinęła się z gwintów, usłyszał jak palnęła w śmigające cielsko niby w bęben, i jedno mgnienie czekał, bez oddechu. Dzik migał jeszcze przez krzaki ze dwadzieścia kroków gładko i ciężko, jak ciągnięta mechanicznie czarna kłoda. W chwili, gdy Michał chciał pociągnąć za drugi cyngiel, odyniec powalił się o ziemię, aż stęknęła.

Strzelec przykucnął, potem wspiął się na palce, wychylał się na boki, aby poprzez opadający dym i zwiłkane zarośla pożreć oczyma swą zdobycz. Pamiętał jednak, że ze stanowiska zejść mu nie wolno przed dojściem nagonki... Czekał niedługo, bo już naganka ciekawie dochodziła, dwaj strzelcy mundurowi, dążąc po ogromnym tropie, zmiarkowali już po głosie strzału, że dzik dostał, zobaczyli go teraz leżącego i, winszując Michałowi podnieśli trąbki do ust. Zadzwońnię triumfalna fanfara: śmierć dzika!

Śpiesznie schodzili się na ten głos myśliwi, przewidując niezwykły wynik. Ze stada odstrzelono dwa warchlaki, ale mało kto na nie patrzył. Tutaj, gdzie grają trąby musi być coś do obejrzenia.

Kilku myśliwych zebrało się wnet na stanowisku Rajeckiego, który starał się opanować gotującą się w nim dumę i radość i spokojnie udzielać objaśnień. Patrzono mu w oczy z zazdrością i z uszanowaniem...

Z innej strony przybywał książę Jerzy...

Dzik leżał na miejscu gdzie padł otoczony wiankiem chłopów z naganki, trzymających

się jednak opodal powalonego potwora. Myśliwi i służba łowiecka ruszyli teraz do niego.

— Niech książę pan uważa: dzik żywy — rusza zadnią nogą! — ostrzegł łowczy.

Przystanęło całe towarzystwo, naganka odstąpiła jeszcze dalej w niejakim popłochu. Łowczy zaś zawołał jednego z umundurowanych strzelców:

— Hej, Koper, doładź no kozika i uspokój tego jegomościa!

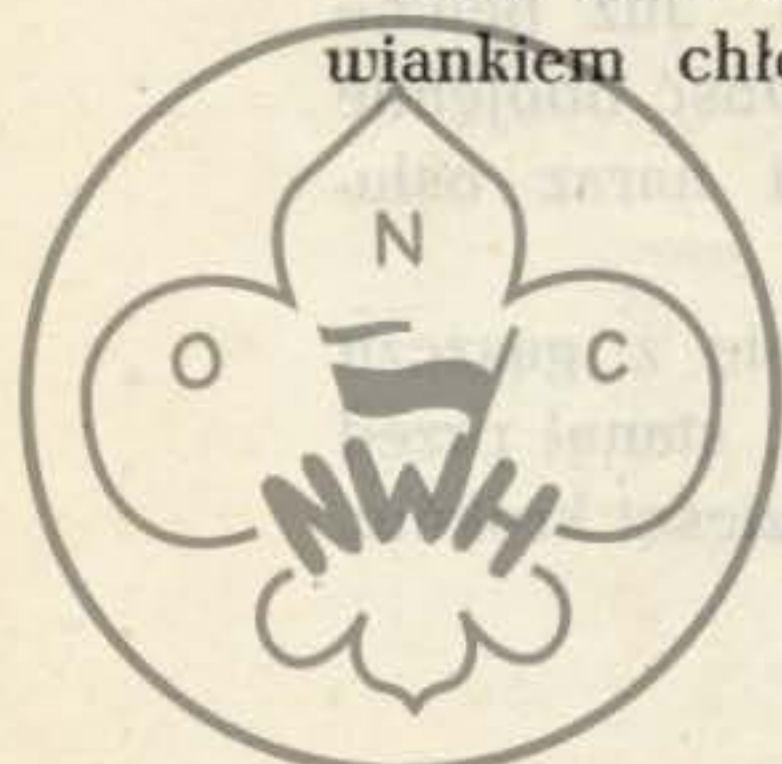
Więc Koper obnażył długi kordelas i skulony drapieżnie ruszył ku dzikowi. Ale zanim doszedł, odskoczył. Nieruchoma kłoda ożywiła się niepojętym ruchem. Jakby zbudzony piorunem, dzik odbił się od ziemi z szaloną sprężystością i stanął ogromny, najeżony na karku, mierząc ryjem w zwartą kupę myśliwych, głośno klapiąc i furkając paszczką, z której błyskały ogromne kły zakrzywione.

Z wrzaskiem rozbiegła się naganka, wielu powłaziło na drzewa. Tylko myśliwi skamieniali na miejscu, chociaż rozbrojeni i niegotowi do strzału.

Ta ich postawa zdecydowała dzika, że nie natarł na nich. Sztynnym ruchem cielska zwrócił się w inną stronę, gdzie mu drogi nie zastępowano i przezorny choć wściekły, runął między drzewa, trafił na sanie zajeżdżające... spłoszył konie i dostał się do gąszczu, przez który sunął zdrowo i silnie, aż zniknął. Padło za nim parę strzałów bezskutecznie.

Dopiero myśliwi, ochłonawszy, zaczęli rozważać niepospolity wypadek... Śmiano się nerwowo, ale i biadano. Trzeba przecież posłać w trop za taką sztuką. — Jest ciężko ranny, skoro leżał bez ruchu. Jak to długo on leżał? Pewno kwadrans albo i więcej. — Ostatecznie źle strzelony.

Nazajutrz osacznik przywiózł do pałacu dzika postrzelonego przez Michała. Dzik szedł jeszcze kilka wiorst, kosztował dużo fatygi i parę strzałów. Odyniec tęgi, ważył przeszło pięćset funtów.



archiwum

MŁODOŚĆ TRAGICZNA . . .

Żyjemy w takich dziwnych czasach, że młodzi zamiast o uśmiechu i weselu myślą o mogiłach, zamiast o słońcu o cieniach.

Mam przed sobą właśnie tomik poezji Teresy Bogusławskiej,* który jest odbiciem myśli, uczuć i przżyć młodziutkiej autorki.

Ukochanie bohaterkiej i umęczonej Warszawy, wzięcie się w całą polską tragedię okupacji jest zasadniczym tonem wszystkich tych prześlicznych wierszy. Z najbardziej jednak smutnych zwrotek wyrasta zawsze wiara, że gdy wstanie :

..... świt przedziwnie jasny
świt perłowy z wstęgą tęczy mgławą,
Ty się zbudzisz do nowego życia
nasza wielka wyśniona Warszawo!

Teresa Maria Bogusławska urodziła się w Warszawie 13 lipca 1929 r. Jako 10-letnie dziecko patrzyła na klęskę wrzesniową, na pierwsze oblężenie i zniszczenie ukochanej Warszawy.

Pisać zaczęła bardzo młodo, pierwsze jej utwory pochodzą z 1941 r. Jednocześnie z zainteresowaniami poetyckimi zaczęło rosnać zainteresowanie sprawą polską. Poezja stała się dla przedwcześnie dojrzałej, pozbawionej dzieciństwa i młodości dziewczynki, formą określenia polskiej rzeczywistości.—

Walkę o Polskę, którą chciała znów widzieć wolną i niepodległą, prowadziła w sposób sobie dostępny. Aresztowana na wiosnę 1944 r. za rozlepianie anty-niemieckich afiszów, przesiedziała na Pawiaku, skąd po zwolnieniu wróciła z zarodkami gruźlicy. Powstanie i poniewierka popowstaniowa, Pruszków a nadewszystko straszliwy ciężar nowej klęski wywołał spotęgowanie choroby a w konsekwencji gruźlicze zapalenie opon mózgowych i śmierć w dniu 1 lutego 1945 r.

Młodziutka autorka przesmutnych wierszy jest jakby symbolem młodej Polski Walczącej, symbolem poświęcenia i ofiary, miłości i wiary w lepszą przyszłość.

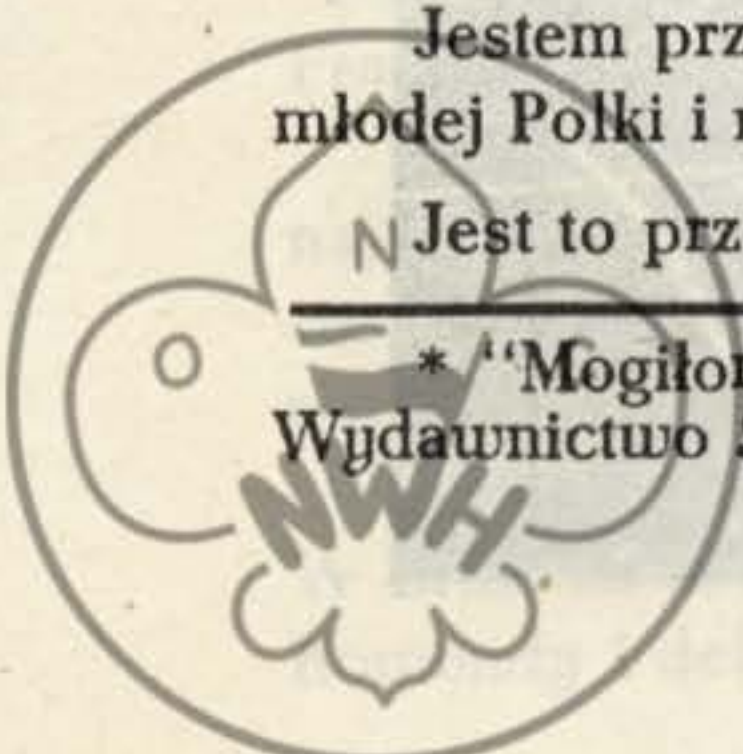
Jeżeli będziecie czytali wiersze Teresy Bogusławskiej czytajcie je pamiętając o czasach, w których były pisane i o miłej, mizernej osóbcie, która je tworzyła, osóbcie co miała więcej sił duchowych, niż fizycznych, ale która nawet w najgorszych czasach potrafiła się zdobyć na uśmiech.

“Śmieje się do mnie ziemia cała
okryta miękkim śniegu puchem.
Hen w dal odeszły łzy z żalem
i pozostała radość biała.”

Jestem przekonany, że tomik poezji Tereski Bogusławskiej, znajdzie się w bibliotece każdej młodej Polki i młodego Polaka.

N Jest to przecież najmłodsza poetka — młodości najbliższa.

* “Mogilom i ceniom “ Teresa Bogusławska, Poezje z teki pośmiertnej, Londyn 1946 r. Wydawnictwo Światowego Związku Polaków z Zagranicy.



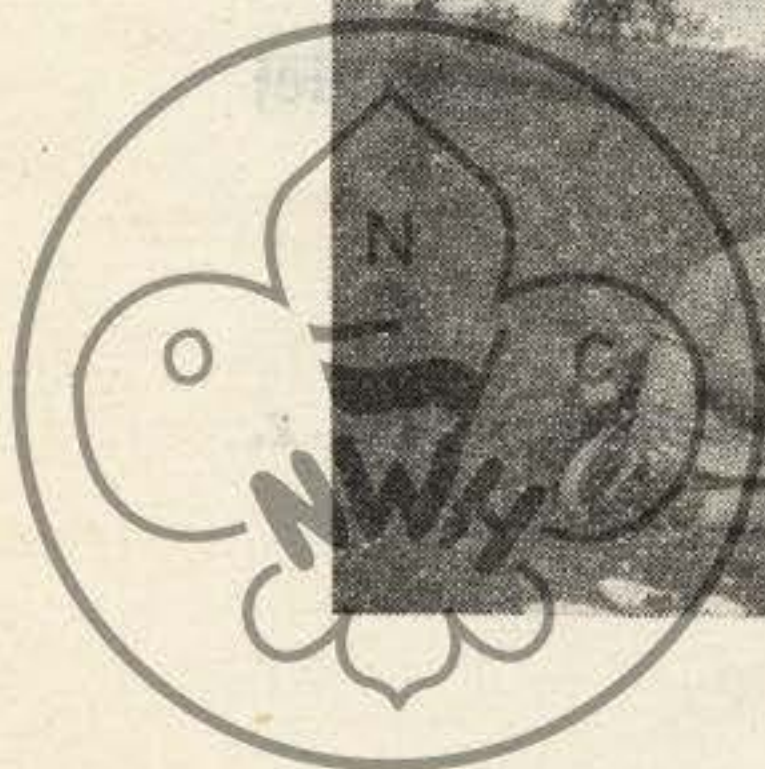
ZYCIE HARCERSKIE

Jestem bardzo dumny bo dostałem pierwszy list z dalekich krajów, mianowicie aż z Nowej Zelandji. Wprawdzie list ten nie był przeznaczony dla Puchacza i właściwie to Redaktor dał mi go tylko do wykorzystania, ale zawsze jest to coś dla naszej kroniki. Pierwsza "korespondencją własną" naszego harcerskiego kącika.

Pisze drużna, która podpisuje się pseudonimem "Świetlik." Pewnie nie wiecie (albo nie wszyscy wiecie), że w dalekiej Nowej Zelandji miłym i gościnnym kraju znalazło schronienie kilkaset polskich dzieci ewakuowanych z Rosji. Dzieci te przeważnie mieszkają w obozie Pahiatua, gdzie oczywiście krzewi się i praca harcerska. Drużna Świetlik, jest właśnie harcerką z jednej z tamtejszych drużyn. W sposób barwny i zajmujący opisuje kilkudniowy obóz w jakim wzięły udział nasze drużny na zaproszenie miejscowych skautek. Obóz odbył się w miejscowości Kopua. Okolica, jak wskazują fotografie, bardzo malownicza.

"Wreszcie jesteśmy u celu — pisze nasza korespondentka — nasz obóz będzie rozłożony na jednym z pięknych wzgórz odcięty głębokim jarem i rzeką od innych. Komendantka wybrała nam najpiękniejszy namiot "Queenstown" na który najpierw spoglądałyśmy nieufnie, nie bardzo wiedząc jak zabrać się do jego rozstawienia, ale wzięłyśmy się do pracy i tak się nam udało, że namiot nasz przetrwał wyśmienicie i bez poprawek dość silną burzę, która groziła wszystkim namiotom, podpierano je więc i umacniano, nasz tylko stał jak mur!"

"Zajęcia obozowe były tak miłe, że czas leciał niespodziewanie szybko. Nowe nasze nowo — zelandzkie przyjaciółki były bardzo uprzejme wesołe i uczyły się chętnie słówek polskich. Już następnego dnia pozdrowiały nas hasłem "Czuwaj" i czymś co miało przypominać "Dzień Dobry!" Po kilku dniach śpiewały już nasze piosenki "Leci woda— ." "Hej tam pod lasem" i inne. Komendantka nasza mówiła im wiele o Polsce o naszych ludowych zwyczajach o harcerstwie w Polsce przedwojennej o życiu kulturalnym naszej Ojczyzny.



“W dniu zakończeniu obozu zastępczyni Głównej Komendantki Miss Herrick wręczyła nam namiot i w swym przemówieniu pożegnalnym między inn. powiedziała, że cieszy się bardzo z bliższego kontaktu jaki powstał między harcerkami polskimi i jej dziewczętami.”

“My wyjeżdżałyśmy z obozu pełne miłych wspomnień i wrażeń z tych kilku dni przeżytych z siostrami — skautkami gościnniej Nowej Zelandji”.

Puchacz bardzo dziękuje d-hnie Świetlikowi za miły opis i prosi o więcej.

CHORAĞIEW „WARTA”—NIEMCY



DRUŻYNA IM. KRÓLOWEJ
JADWIGI W MULEIN/R.



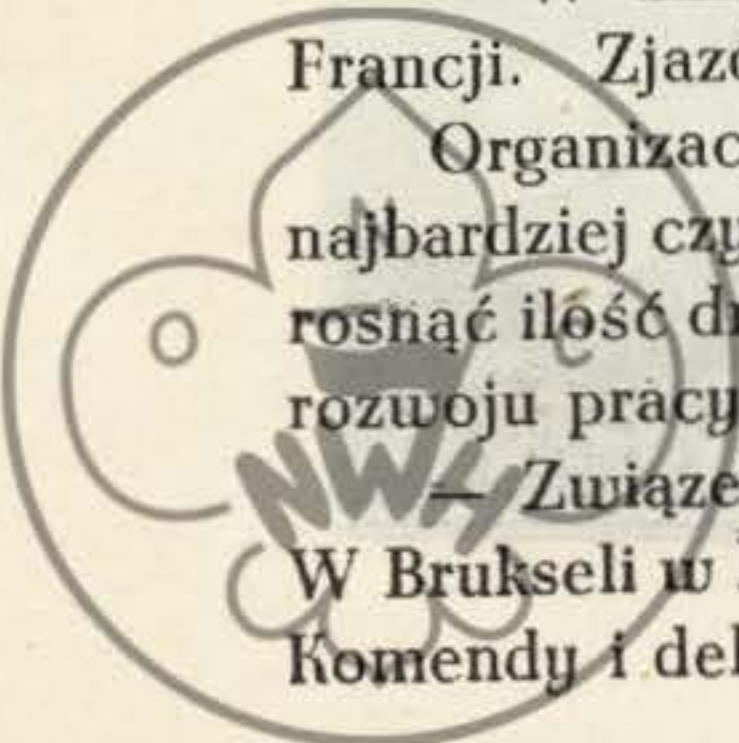
ZASTĘP NA WYCIECZCE

— Harcerstwo w Wielkiej Brytanji przeżyło ważną chwilę. W dniach od 2 do 5 maja odbył się w Edynburgu Zjazd Obszaru Brytyjskiego Z.H.P. który uchwalił nowy regulamin i ukonstytuował się wybierając władze. Ze sprawozdań wynika że najmocniej stoi praca w Chorągwi Wojskowej gdzie ilość Kręgów Starszoharcerskich idzie już w setki. Niema prawie oddziału wojskowego, żeby nie było w nim harcerzy zrzeszonych w Krąg. Starsze Harcerstwo wykazuje coraz większą prężność. Mamy nadzieję, że coś z tej energii dostanie się i nam t. zn. młodszemu harcerstwu.

— W dniu 13 maja odbył się w Paryżu Zjazd Walny Związku Harcerstwa Polskiego we Francji. Zjazd ten będzie nowym krokiem w kierunku dalszego rozwoju Harcerstwa we Francji.

Organizacja ta, która tak pięknie pracowała przed wojną, podczas okupacji stanęła wśród najbardziej czynnych i ofiarnych w akcji podziemnej. Po uwolnieniu Francji zaczęła gwałtownie rosnać ilość drużyn i młodzieży w drużynach. Harcerstwo we Francji wchodzi na tory dalszego rozwoju pracy organizacyjnej.

— Związek Harcerstwa Polskiego w Belgii obchodził 20-letnią rocznicę swego powstania. W Brukseli w lokalu Komendy zorganizowano uroczysty obchód, w którym wzięli udział oprócz Komendy i delegatów poszczególnych środowisk przedstawiciele skautingu belgijskiego.



— W związku ze wznowieniem prac repatriacyjnych na terenie Niemiec Komenda Główna w przewidywaniu konieczności likwidacji szeregu jednostek organizacyjnych wydała odpowiednią instrukcję, polecającą wszystkim wracającym do kraju harcerzom zabierać możliwie dużo książek i czasopism do wykorzystania.

— Na terenach okupacji brytyjskiej, amerykańskiej i francuskiej Komenda Główna Z.H.P. w Niemczech poleciła wszystkim swoim jednostkom nawiązanie ścisłej współpracy z organami "Zjednoczenia Polskiego" obejmującego wszystkie organizacje polskie na terenie Niemiec, w zakresie pracy nad organizowaniem życia całej młodzieży polskiej znajdującej się w obozach cywilnych.

— Hufiec harcerski w osiedlu polskim Santa Rosa w Meksyku stanął wobec konieczności przeorganizowania swej pracy w najbliższej przyszłości. Mianowicie organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych finansujące osiedle wstrzymują z dniem 31 czerwca 1946 r. swą pomoc finansową. Większość mieszkańców osiedla przeniesie się prawdopodobnie do Stanów Zjednoczonych. W związku z tym Rada Hufca powzięła szereg uchwał zmierzających w przyszłości do utrzymania kontaktu między członkami Hufca niezależnie od ich miejsca pobytu.

— Z Indii donoszą, że valivadzka grupa redakcyjna pisma "Młodzi" wyruszyła na wycieczkę do Bijapur. Zwiedzano zabytki dawnej stolicy władców mahometańskich. Serdeczne przyjęcie ze strony Hindusów było nowym dowodem przyjaźni polsko-indyjskiej.

— Det Danske Spejderkorps (najstarsza organizacja skautowa w Danii — Żółci Skauci) liczyła dnia 1.1.1946 r. — 18.840 członków, w tym 6794 Ulve — zuchów, 9370 Spejdere — skautów, 454 Rovere — starszych harcerzy i 222 Frere — kierowników pracy.

— Z niemałą przyjemnością dowiadujemy się, że na Dalekim Wschodzie skauting rozkwita na nowo. Pracujący na Dalekim Wschodzie członkowie Scouts International Relief Service zostali zaproszeni do wzięcia udziału w uroczystości organizowanej przez 16-tą Drużynę Skautów w Hong-Kong. Jak się dowiadujemy drużyna ta pracowała podczas inwazji japońskiej i odegrała dużą rolę w niesieniu pomocy bezdomnym dzieciom, ofiarom wojny.

— W Stanach Zjednoczonych, podczas mającej ostatnio miejsce kampanii zbierania używanego papieru skauci zebrali w sumie 300.000 tonn papieru. Każdemu skautowi, który zebrał ponad 2.000 funtów papieru został przyznany medal Eisenhowera.

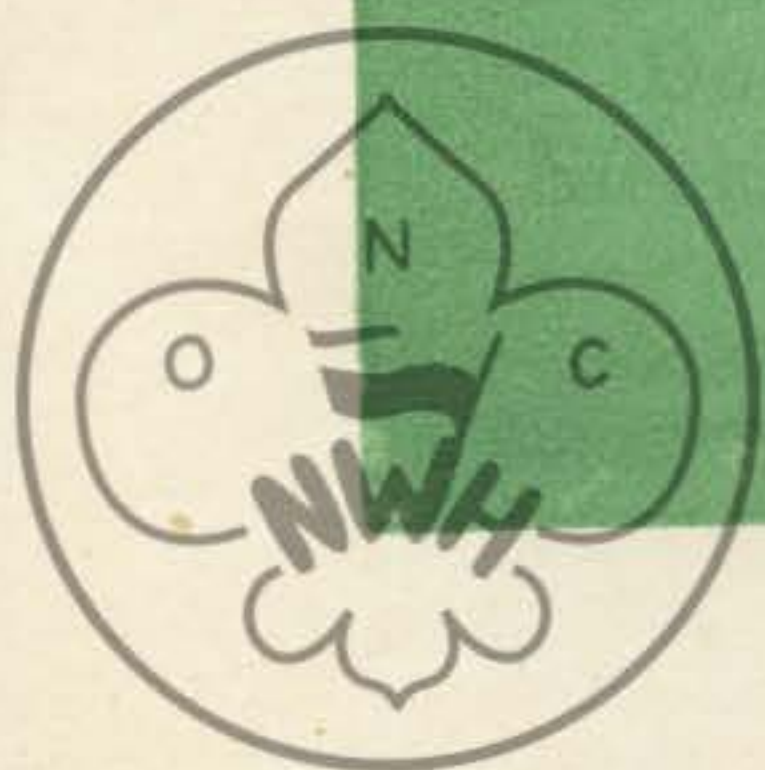
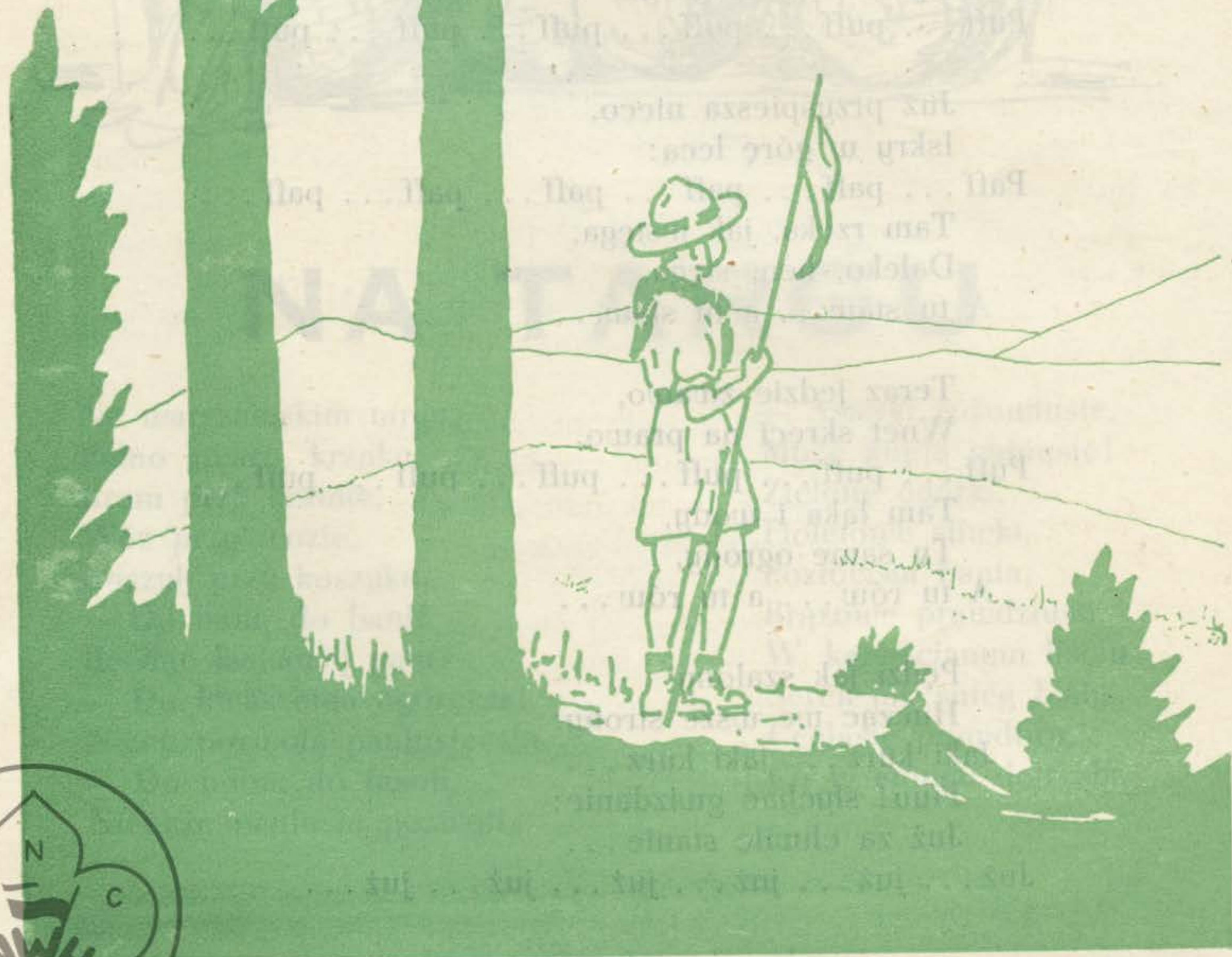
WASZ



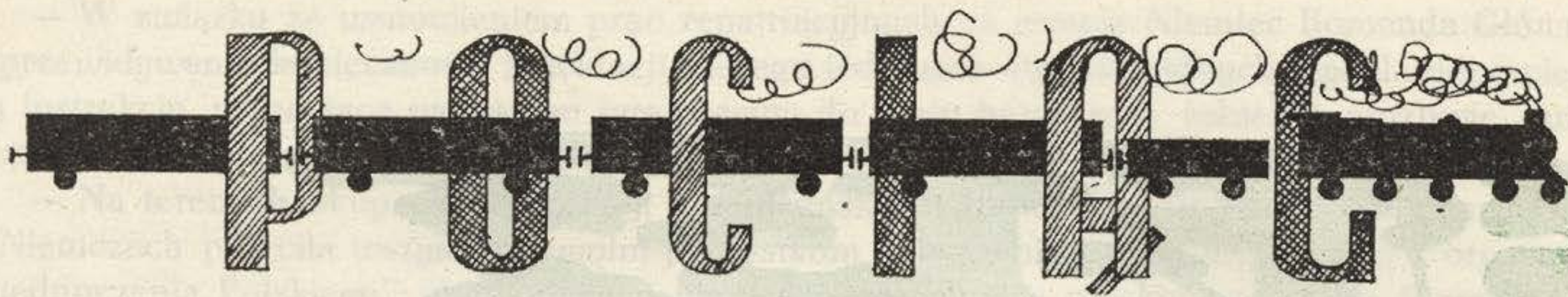


ZUCH

DODATEK DLA DZIECI



archiwum



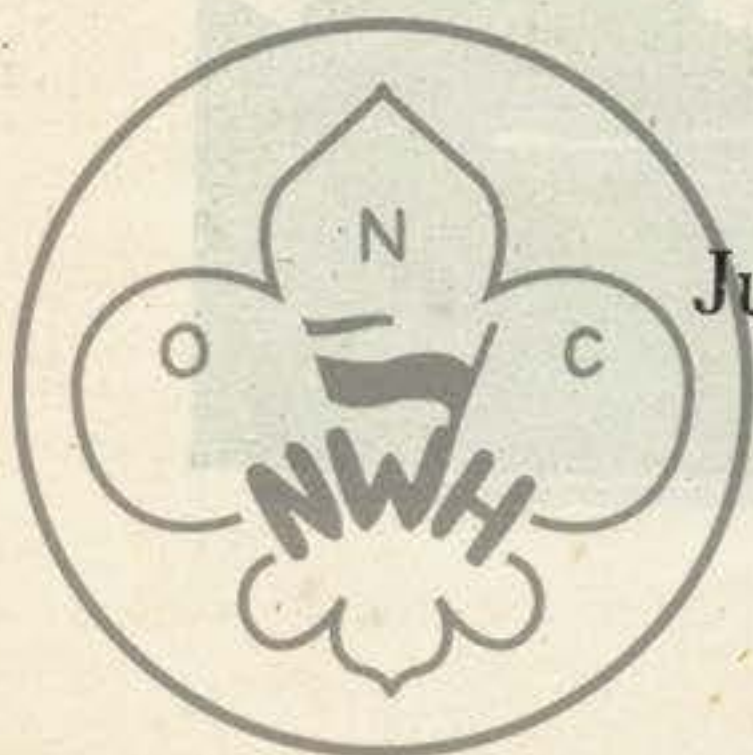
Jedzie pociąg, jedzie,
Parowóz na przedzie:
Pach . . . pach . . . pach . . . pach . . . pach . . . pach . . .
Jak wąż sunie długi,
Puszcza dymu smugi,
Sypie piach . . . sypie piach . . .

Para bucha z rury,
Dym idzie do góry,
Puff . . . puff . . . puff . . . puff . . . puff . . . puff . . .

Już przyspiesza nieco,
Iskry w górę lecą:
Paff . . . paff . . . paff . . . paff . . . paff . . . paff . . .
Tam rzeka, jak wstęga,
Daleko, hen, sięga,
A tu staw . . . a tu staw . . .

Teraz jedzie żwawo,
Wnet skręci na prawo,
Puff . . . puff . . . puff . . . puff . . . puff . . . puff . . .
Tam łąka i wody,
Tu same ogrody,
A tu rów . . . a tu rów . . .

Pędzi jak szalony,
Hucząc we wsze strony:
Jaki kurz . . . jaki kurz . . .
Fiuu! słyhać gwizdanie:
Już za chwilę stanie . . .
Już . . . już . . . już . . . już . . . już . . . już . . .

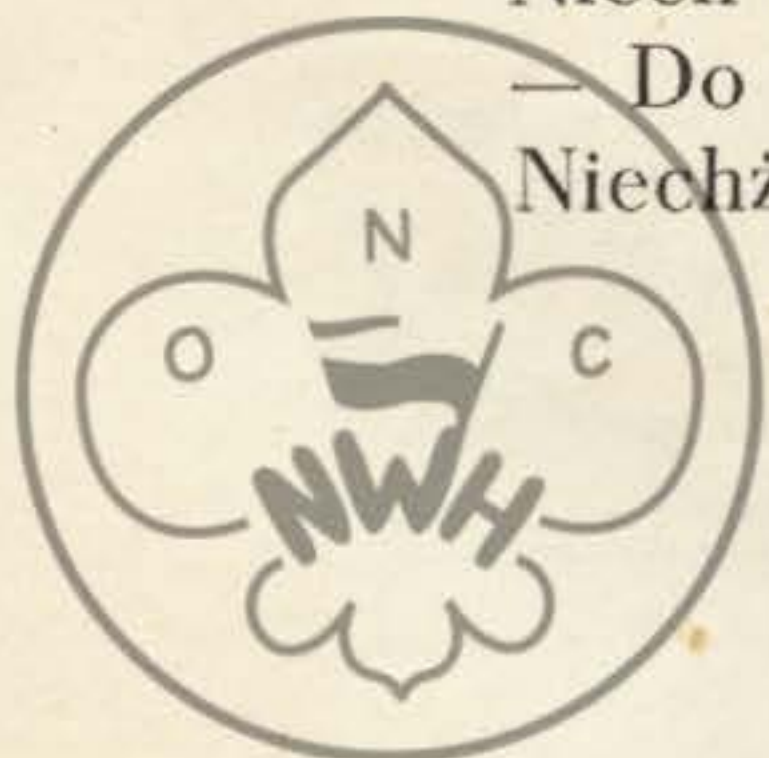




NA TARGU

Na warszawskim targu,
Pełno gwaru, krzyku,
Kram przy kramie,
Wóz przy wozie,
Koszyk przy koszyku.
— Do bani, do bani!
Ile dać łaskawej pani?
— Do kwaszenia ogóreczki,
Niech pozwolą paniusieczki.
— Do bobu, do fasoli,
Niechże paniusia pozwoli.

— Asterki różowiusie,
Może kupią paniusie!
Zielone ogórki,
Fioletowe śliwki,
Pozłocista bania,
Brązowe prawdziwki.
W kapuścianym liściu
Serek jak śnieg biały,
Ceglaste pomidory,
Co w słońcu dojrzały.



archiwum

Śmierć komara



Jak tam w lesie coś huknęło,
Jak pod dębem coś stuknęło.
Komar upadł na korzenie,
Potłukł głowę i golenie.

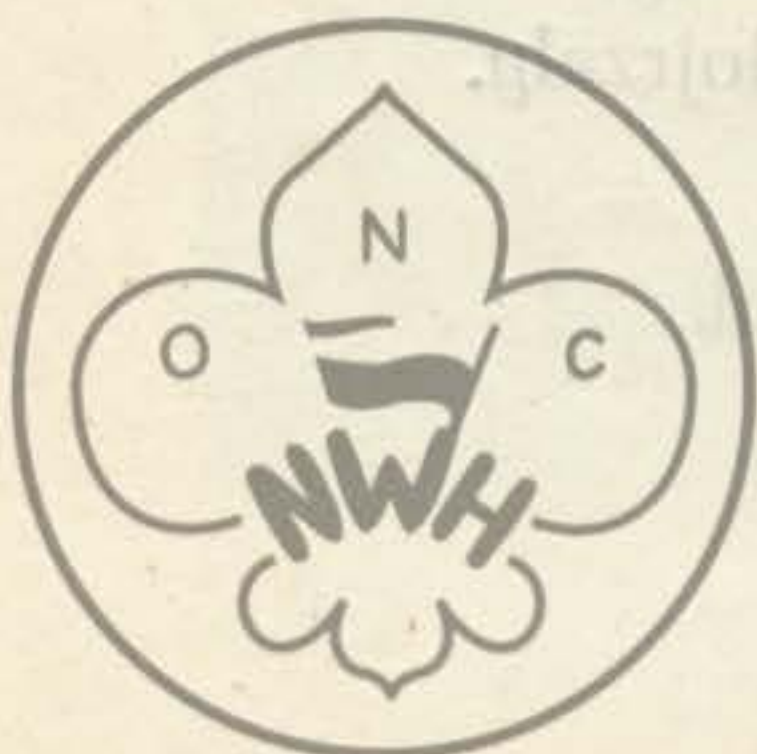
Mucha z chaty przyleciała,
Nad komarem zapłakała,
Różnych maści nakupiła,
Chore nóżki namaściła.

Z dębu kleszcze pospadały,
Chorą główkę pościskały.
Z mrowisk zbiegły się mróweczki,
Podesłały poduszeczki.

Pszczółki z pola przyleciały,
Plaster z miodu przykładały.
Wszyscy go tak odwiedzają
I żal nad nim wyrażają.

— Oj komarze, oj nieboże,
Nic już tobie nie pomoże.
Na tośmy się tu zebrali,
Żebyśmy cię pochowali.

Pochowajcie mnie w leszczynie,
Grób usypcie mi w gęstwinie.



BAJKA O LISIE I WILKU

Siedział sobie lis przed norą i zajadał rybki. Przybiegł wilk i mówi do niego: — mój braciszku, podziel się ze mną rybkami. — A lis mu na to: — chętnie podzieliłbym się z tobą, mój bracie, ale w tej chwili ostatnią rybkę zjadłem.

— Ha, trudno, — mówi wilk — głodny jestem, ciebie zjem. —

— Nie czyn tego — prosi lis — a ja zato pokażę ci jak łapać rybek, ile tylko zechcesz. — Pakaż, — powiada wilk.

Lis zaprowadził wilka nad staw i mówił: — spuść, mój bracie, ogon do przerębli i powtarzaj cierpliwie: — łap się ryba duża i maleńka, — a nie długo będziesz miał ryb pod dostatkiem.

Wilk tak zrobił. Tylko przez chciwość zamiast mówić: — łap się ryba duża i maleńka, — mówił: — łap się ryba duża i największa. — Lis to słyszał, ale nic nie powiedział.

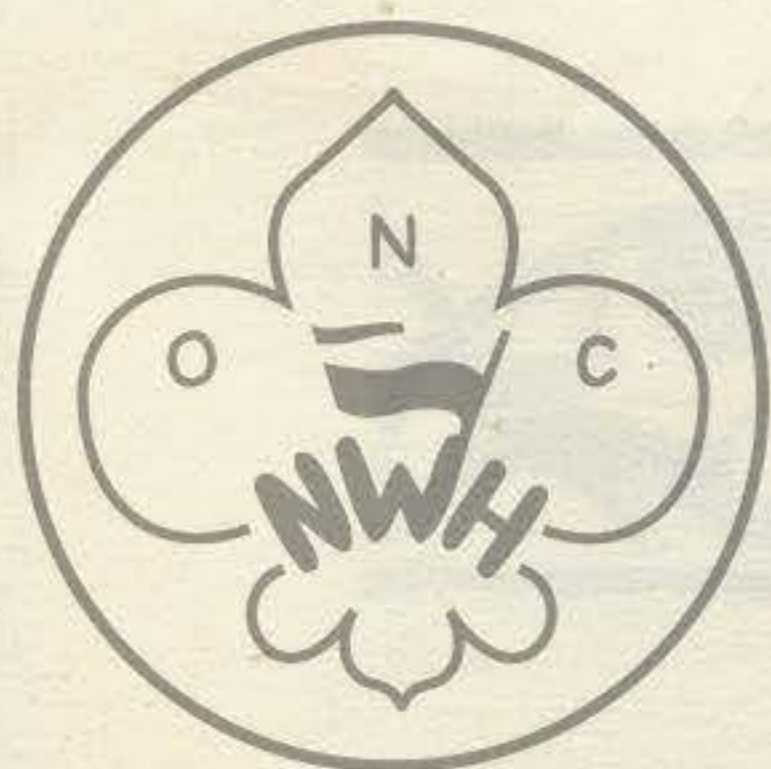
Po jakimś czasie mówi lis do wilka: — ciągnij teraz braciszku, dosyć będzie.

Pociągnął wilk, ale ogona wyciągnąć nie może. Ciągnie jeszcze mocniej. Ani rusz. Bo mu ogon na mrozie do lodu przymarzł. Wreszcie szarpnął z całej siły. Oderwał się. Ale bez ryby i bez ogona. Aż zawył z bólu.

A lis do niego z obłudną miną: — o mój bracie, sam sobie winieneś. — Zamiast mówić — łap się ryba duża i maleńka — mówiłeś — łap się ryba duża i największa. — Nałapały się największe. Uciągnąć ich nie mogłeś. I ryby nie dostałeś. I ogon straciłeś. Chciwość cię zgubiła.

ZAGADKA

Bardzo jest skromny, kryje się w trawie,
Tak, że go czasem nie widać prawie;
Lecz za to pachnie mocno i ładnie.
Cóż to za kwiatek, kto to odgadnie?





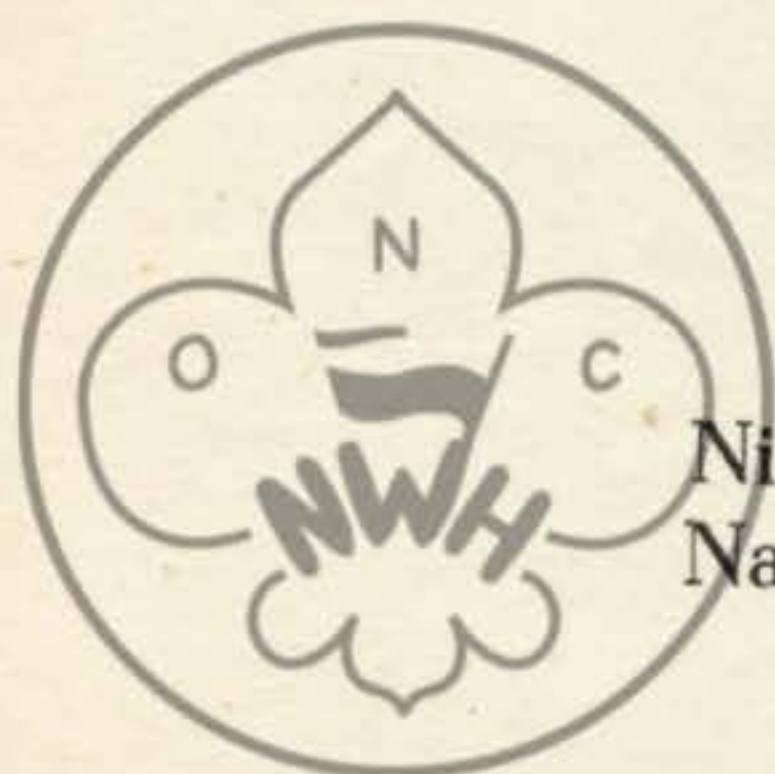
PRZYCODY OPCIUNIA I CINOPKI



Jest bardzo gorąco w dalekiej Afryce
Męczy się Cinopka i obciera lice

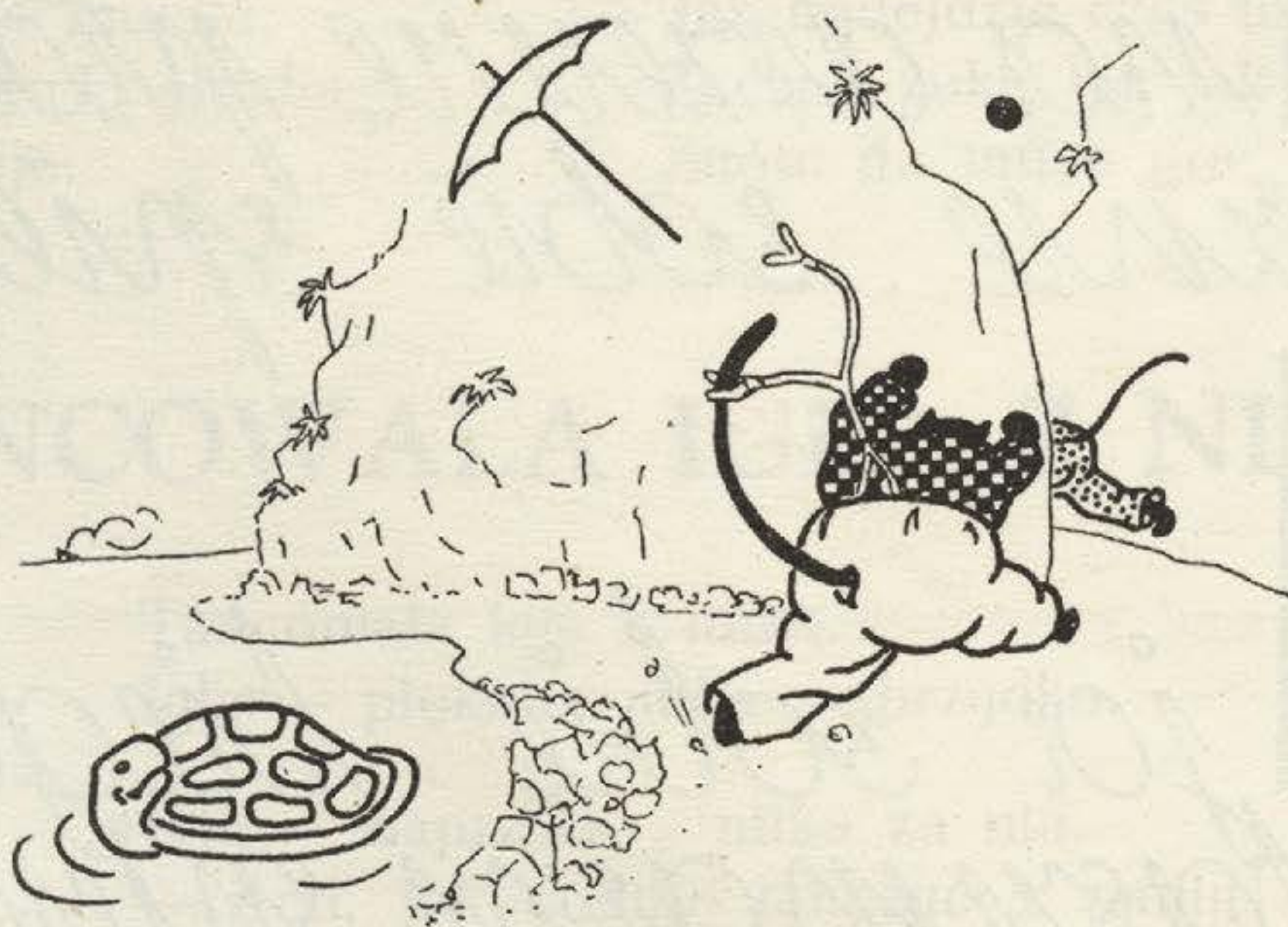


Niema na czym spocząć, nic oprócz kamieni
Nagle się coś kolorowego tuż przy drodze mieni

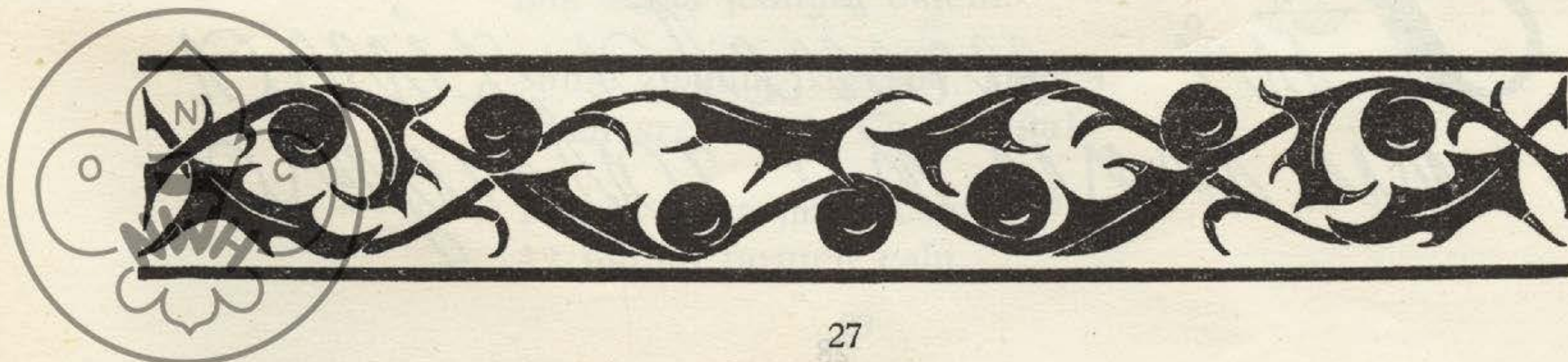




Siadają na tym lecz już po sekundzie
Uciekli spłoszeni — ledwie dyszą — jak po boksu rundzie !




Żółw do wody włązi, mruży lewe oko
Patrzy jak Opciunio ucieka — z ogonem wysoko!




ZA DOMECKIEM OGRÓD

 Za domeczkiem ogród
a w ogródku drzewa

 Na drzewie ptaszek
slicznie sobie spiewa

 Ja sobie biegam
z ptaszynami spiewam

 Już minęła zima
sicz mnie nie zatrzyma





Lecą żuki, lecą dwa,
Na skrzypeczkach jeden gra,
Drugi podśpiewuje:

Chodźcie z nami śpiewać, grać,
Chodźcie razem tańcować —
Tak wszystkich zwołuje.

Leci komar, leci mucha,
Biały motyl śpiewki słucha,
Nogi już prostuje.

A z nad łąki ważka leci
Zostawiła małe dzieci,
Ślimak ich pilnuje.

Całą nockę tańcowali,
Na skrzypeczkach przygrywali,
Rankiem poszli spać.

Jak nadejdzie czas wieczora,
Zaczną żuki, tak jak wczora,
Znow do tańca grać.

TANCOWAŁA IGŁA Z NITKĄ

Tańcowała igła z nitką.
Igła — pięknie, nitka — brzydko.

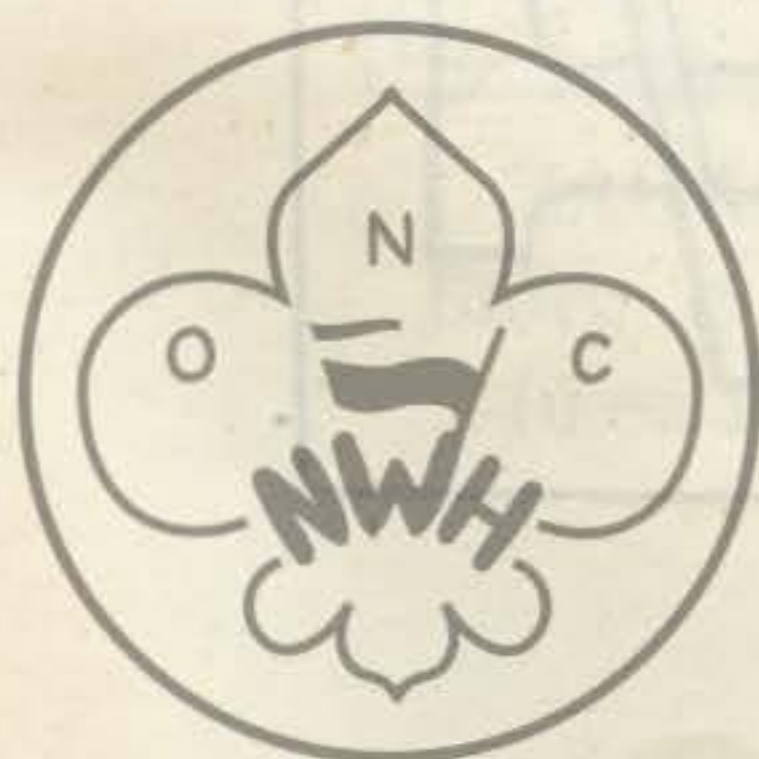
Igła — naprzód — nitka za nią.
— Ach, jak cudnie tańczyć z panią!

Igła biegnie drobnym ścięgiem,
A za igłą, nitka biegiem.

Igła górą — nitka bokiem.
Igła zerka jednym okiem.

Sunie zwinna, zręczna, śmigła.
Nitka szepce: — Co za igła!

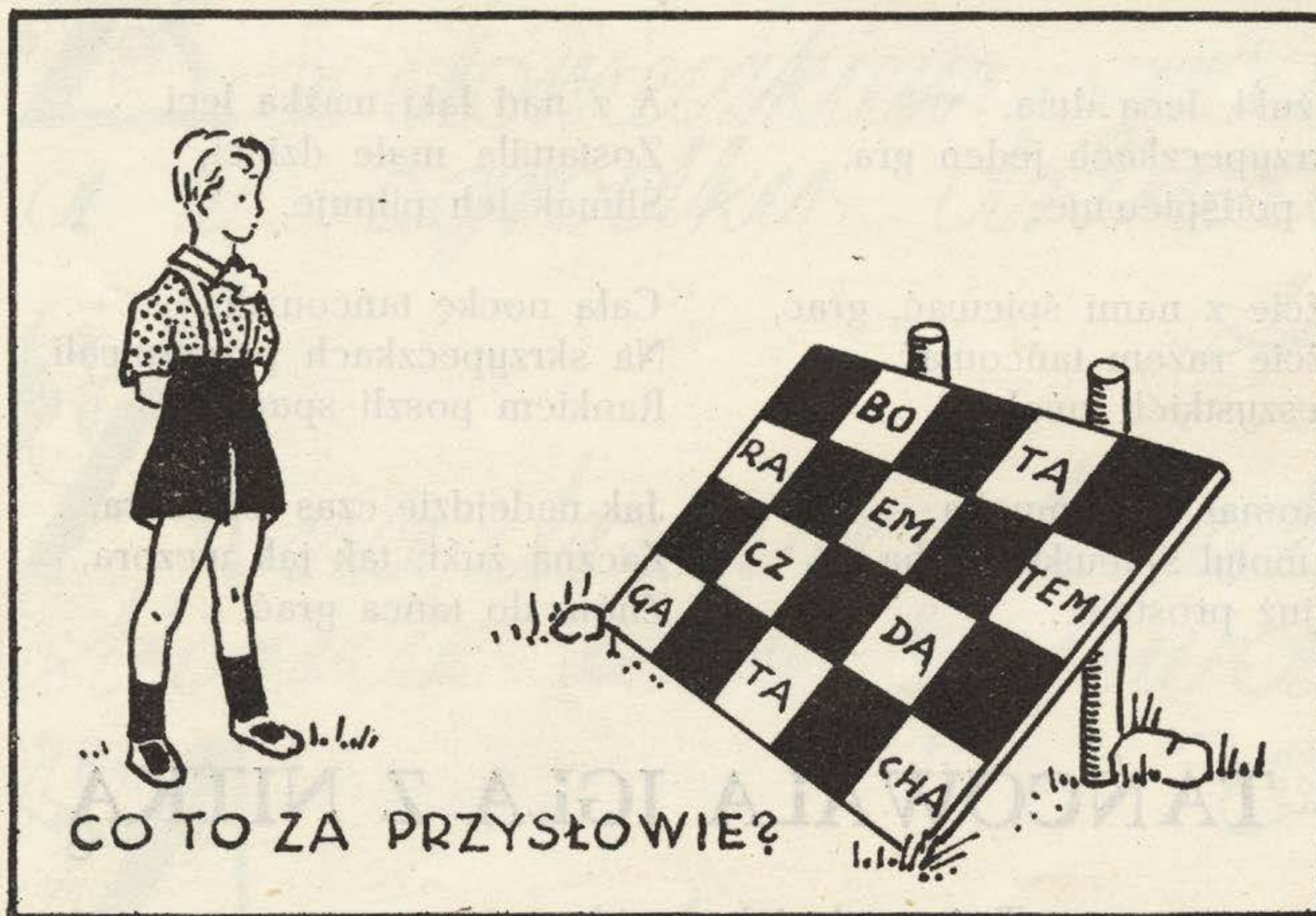
Tak ze sobą tańcowały,
Aż uszyły fartuch cały.



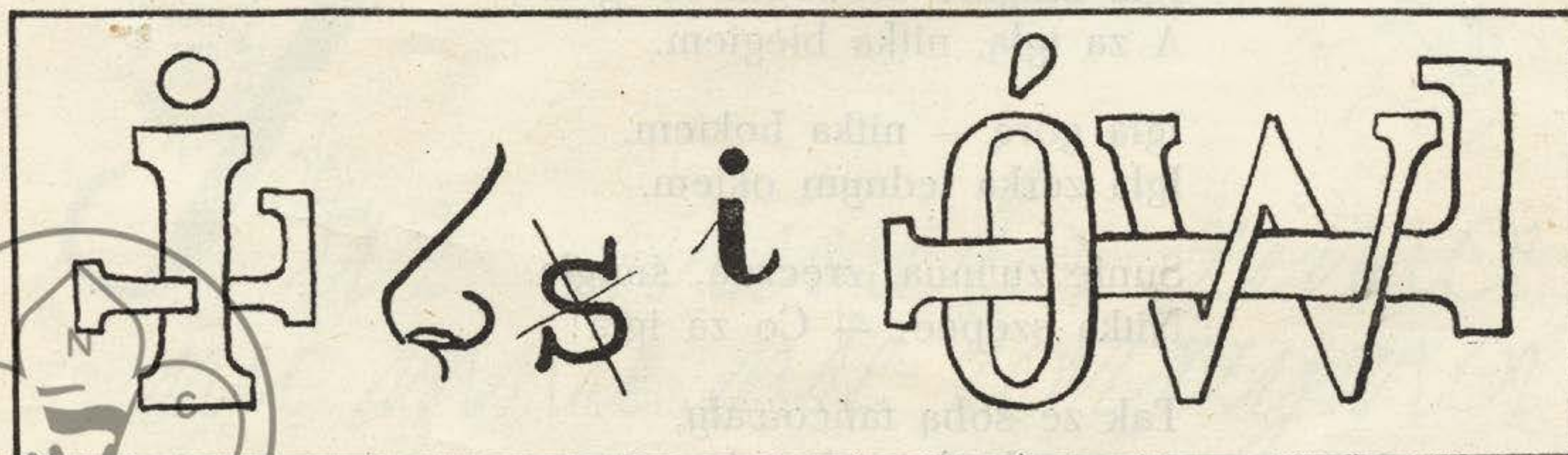
CO TO JEST?

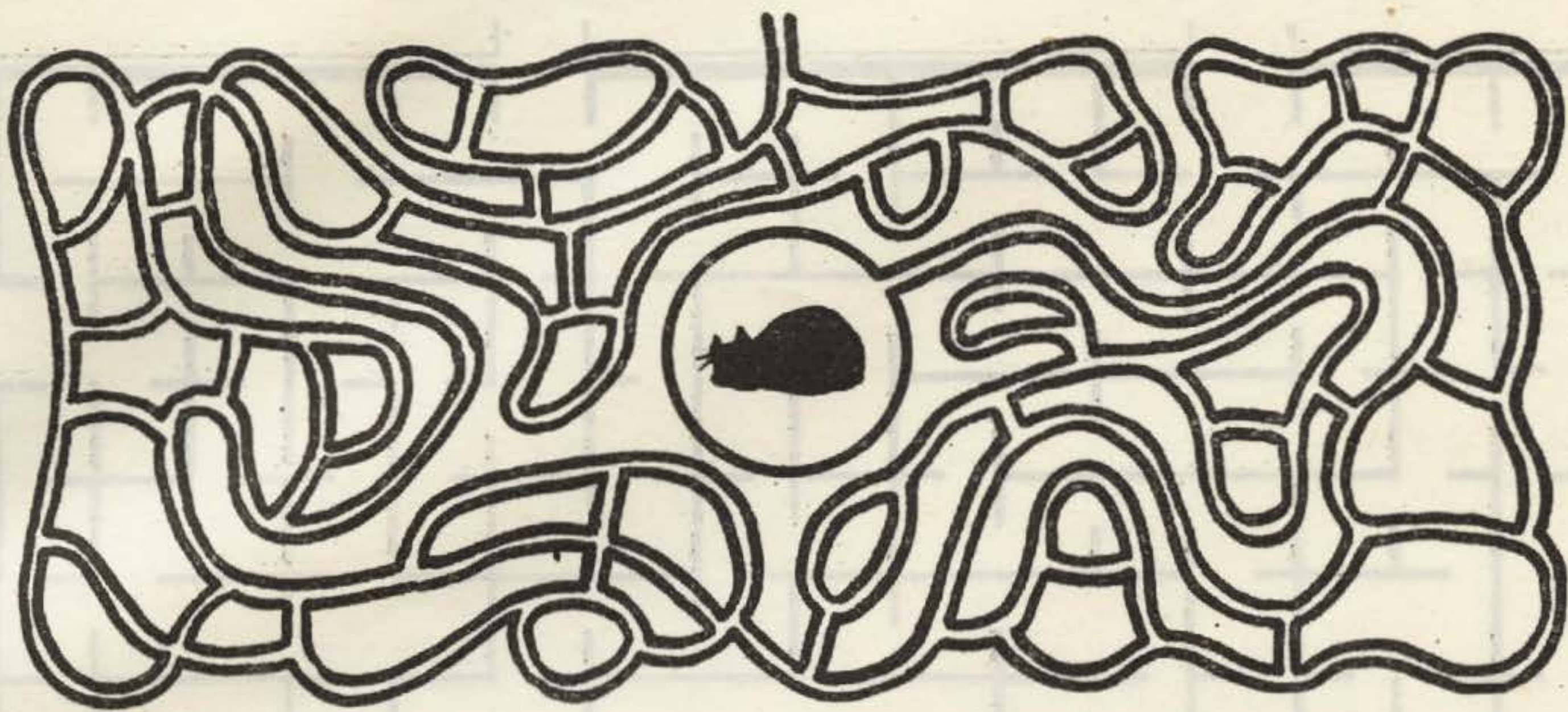
Podajemy kilka zagadek, rebusów i szarad. Pomyślcie, pokręćcie głową, zgadnijcie i napiszcie do Redakcji. Kto odgadnie wszystkie zagadki otrzyma w nagrodę piękną książkę.

A więc do dzieła!

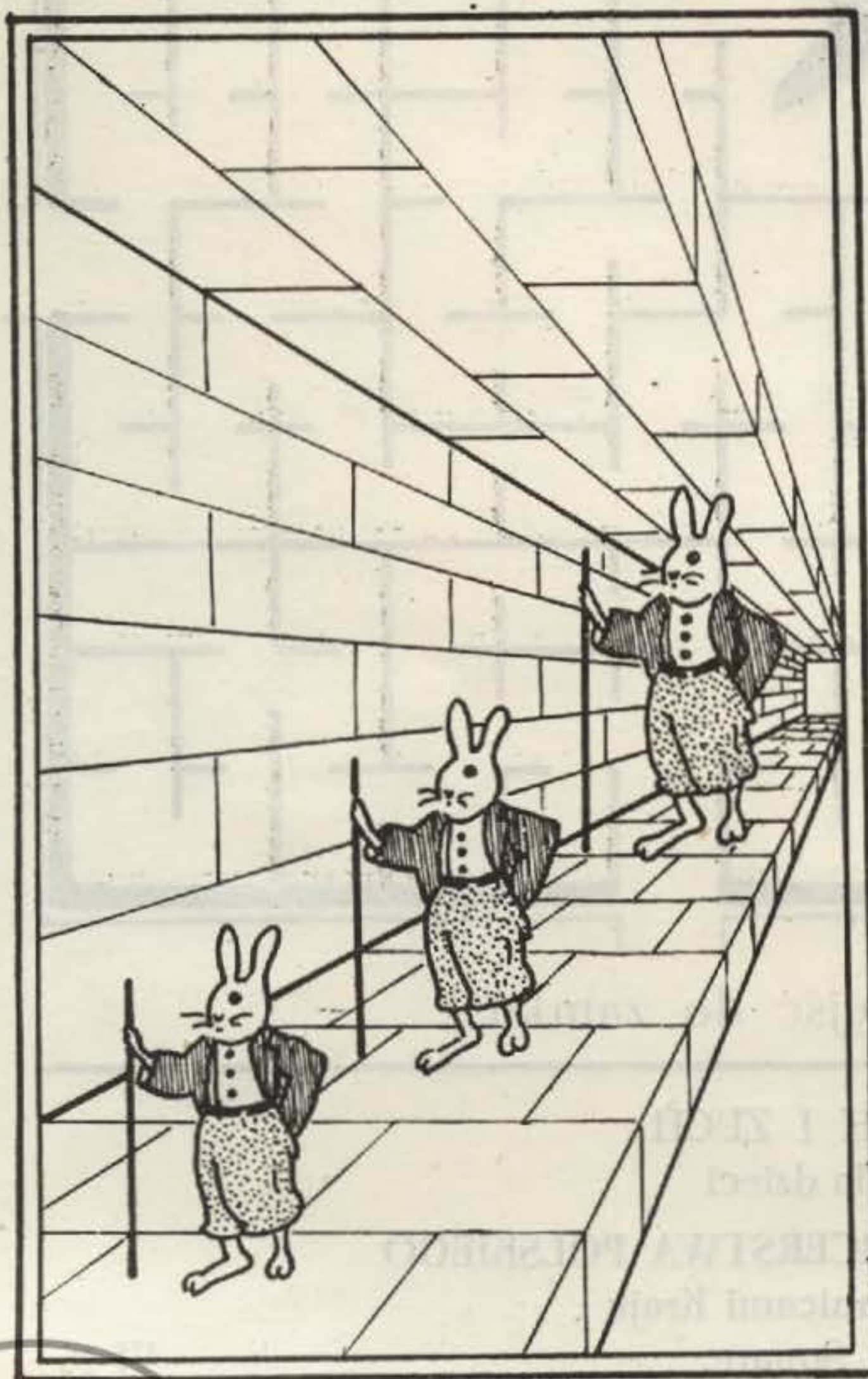


REBUS





Czy moglibyście narysować kolorowym ołówkiem drogę, którą ma przejść kot, ażeby wydostać się z koła?



ZAGADKA „OPTYCZNA”

Który z nich jest najwyższy?
(weź miarkę centymetrową
i zmierz).

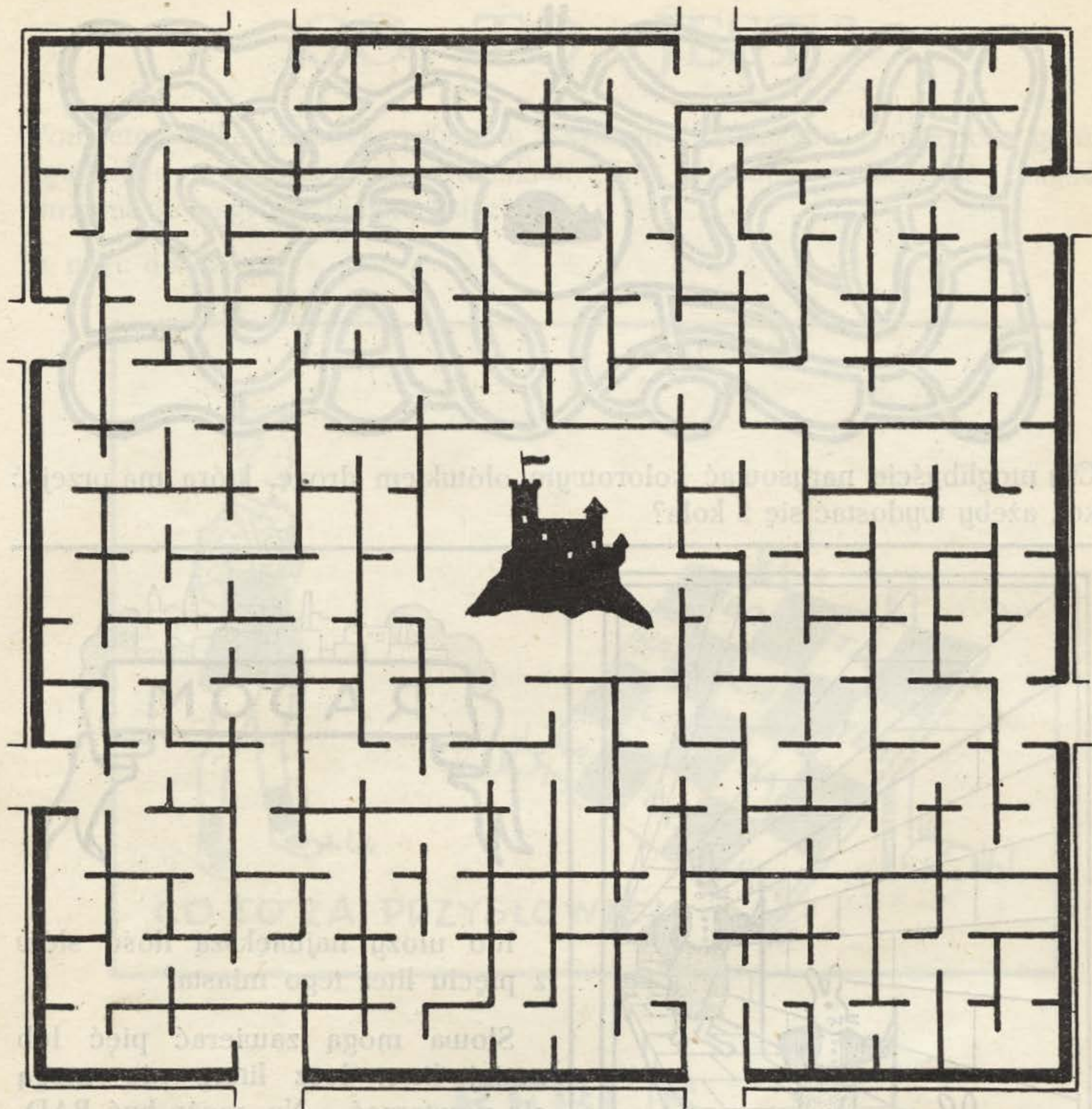


Kto ułoży największą ilość słów
z pięciu liter tego miasta?

Słowa mogą zawierać pięć lub
mniej liter, lecz litery nie mogą
się powtarzać. Np. może być RAD,
ale nie może być RADA. Mogą to
być nie tylko rzeczowniki, ale przy-
miotniki, czasowniki i.t.p. Ułożyć
słowa w porządku alfabetycznym
i trudniejsze z nich, albo mniej
znane — objaśnić.

UWAGA: Kto z was mógłby po-
wiedzieć gdzie leży Radom i z
czego jest znany?





Którą bramą można wejść do zamku ?

ŚWIAT MŁODYCH I ZUCH
dla młodzieży i dla dzieci

WYDAWCA : ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO

Naczelnictwo poza granicami Kraju

21, Earl's Court Square,

London S.W. 5

VI-46

Cena Ish.

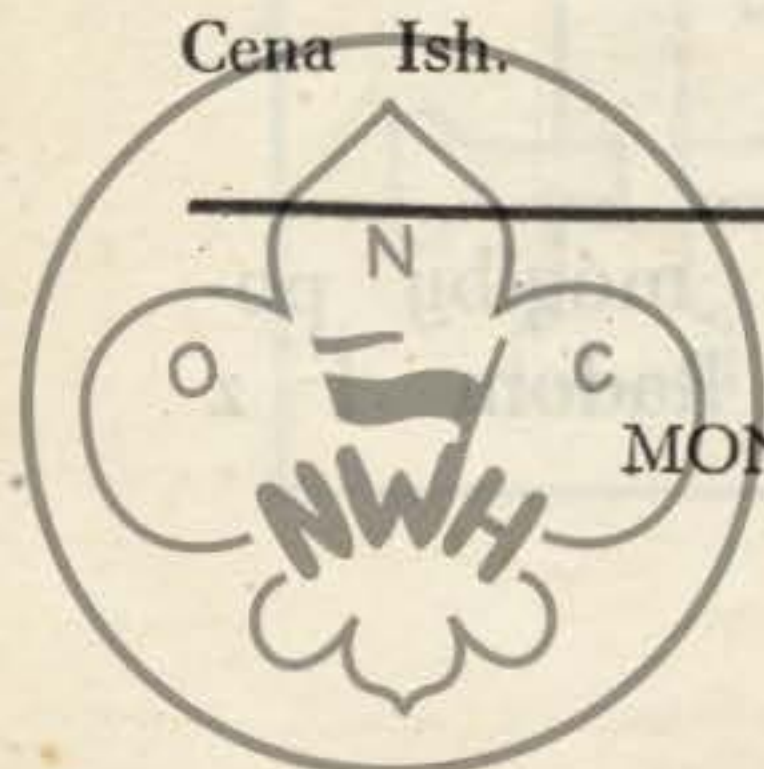
Druk:

Polskie Zakłady Graficzne Wydawnicze

MONTGOMERYSHIRE PRINTING & STATIONERY CO. LTD.,

Printers and Publishers, NEWTOWN, Mont. Mid-Wales.

32



archiwum